



N^o 34.

Prenumerata w Warszawie:
roczn rs. 8, półrocznie rs. 4, kwartalnie rs. 2,
miesięcznie kop. 67 i pół.

Warszawa, 22 sierpnia 1868 r.

Prenumerata na prowincyi i w ce-
sarstwie w osobnych kopertach:
kwartalnie rs. 3 1/2.

TOM II.

Treść numeru.

Bajki Krasickiego (z drzeworytem).—
Kronika tygodniowa. — Odezwa do re-
dakcyi. — Obrazek z Czarnolesia (wiersz).
Przeгляд polityki zagranicznej. — Dru-
skienniki (z trzema drzeworytami). —
Kronika zagraniczna, przez J. I. Kra-
szewskiego. — Szkice humorystyczne Ks.
Pillatego (trzy drzew.). — Słów kilka o
repertoarze. — Silni i słabi, powieść (dal-
szy ciąg). — Szachy. — Rebus. — Prze-
gląd teatralny. — Uroczystość winobran-
ców w Vevey (dokończenie). — Wy-
cieczka na Łomnicę tatrzańską 26 lipca
1865 r. (dal. ciąg).

BAJKI KRASICKIEGO,

illustrowane przez Antoniego Zaleskiego.

Na pierwszym planie w rodza-
ju ramy widzimy z jednej stro-
ny starą popsutą fontannę (czy
fontanny, jak się współczesną
pisownią Krasicki wyraża) z po-
łamanymi posążkami amorków,
zielskiem i powojem obrosłą,
z drugiej strony strumyczek któ-
ry jak płynął tak płynie, wy-
żej z jednej strony badyle su-
chój słomy, z drugiej gałązkę
konwalii.

Strumyk i fontanny.

Impet wody w fontannach gdy
[ogromnie huczał,
Strumyk blisko płynący zazdro-
[ścił i mrucał.
Pękły rury cò wody hojnie doda-
[wały,
Strumyk płynął jak pierwój, fon-
[tanny ustały;
Nastąpiła po żalu radość niewy-
[mówna:
Poznał że kunszt naturze nigdy
[nie wyrówna.



Kronika
tygodniowa.

...Więc jedni przypisują te
utrapienie gorąco wpływowi astro-
nomów.

— Oj krzykacze, mówią, oni
tego wszystkiego narobili.

Potrzebaż im było śledzić pla-
my na słońcu się ukazujące. Za-
częli je liczyć, wyliczać, określać
ich kształt, łamanie się światła,
wyrachowywać nawet szkody ja-
kie wielkiemu naszemu świeczni-
kowi zrządzić mogą. I co gorsza,
byli tacy którzy nie wahali się
najstraszniejszy stawić zarzut:
że słońce starzeje się i powoli
płec traci. A słońce jak piękna
kobieta; musiało to je dotknąć do
żywego, bo czy użyło maści jakiej,
czy angielskiego creamu, czy wo-
dy na piegi, czy innego jakiegos
sposobu, dość że plamy zaczęły
znikać, i stało się to jak raz na
ten rok. Naturalnie im mniej
plam tém więcej gorąca, bo zaraz
podwojona liczba promieni łamie
się w atmosferze. I przez nie-
opatrzność astronomów my musi-
my cierpieć. Oni ślusarze, my
kowale, oni winni—nas wieszają.

STRUMYK I FONTANNY

Ale przyzwyczailiśmy się już do tej niesprawiedliwości.

Inni znów, opierając się na twierdzeniu jakiegoś astronoma który głos wznosi z miejsca gdzie najlepsze trufle się rodzą, twierdzą że ponieważ słońce i wszystkie większe planety, z wyjątkiem Saturna (począwszy ten Saturn) znajdują się od maja w północnej półkuli, zatem skutkiem wpływu przez te ciała niebieskie wywieranego, do czego i księżyc się przyczynia, tworzy się w górnych warstwach atmosfery prąd powietrza od bieguna do równika, a niższe warstwy przeciwnie dążą od równika do bieguna wtedy, kiedy księżyc znajduje się w północnej półkuli. Te ostatnie równikowe warstwy ogrzewają ziemię i stają się przyczyną silnych upałów...

Niech zrozumie kto zechce, co do mnie składam broń i otwarcie wypowiadam że mi się to zdaje trochę niejasne. Ale uczeni nie dbają na to a twierdzenie im mocniej naukowo wywiedzione, tym mniej jasnym staje się ono dla nas profanów.

No, a cóż powiecie o tych którzy wszystko złe zwalają na komety, co podobno zanadto zbliżyła się do nas. Te komety to prawdziwe ofiary niebieskiego systematu; one zawsze służą do wytłumaczenia tego co wyjaśnić trudno. Zimno — kometa winna, deszcze padają — także odpowiedzialność na komety, upały — jeszcze kometa.

A nie mówimy już o tych którzy tym zjawiskom niebieskim przypisują wpływ daleko dotykalszy na sprawy ludzkie. Jeżeli sądzicie że liczba tych ostatnich zmniejszyła się, to się mylicie bardzo. Kometa i kierunek w którym się jej miotła zwróci, to rzecz nie małej wagi.

Przynajmniej to pewna że kometa, jak znawcy utrzymują, wpływa na dobre win urodzaje. Wino komety rzecz znana, to patent szlachectwa nie lada. I gdyby za pomocą zamówienia jakiego w biurze dostaw można komety sprowadzić sobie na zawołanie, składnicy win jużby to byli dawno uczynili.....

* * *

Ale to pewna że ciepło mamy nie lada.

Jedną przynajmniej mamy korzyść z tego, owoce trochę tańsze niż w zeszłych latach. Obrodziło się ich niemało, dojrzewają od słońca, dojrzewają od robaków także, bo źródło życia i zaród śmierci często tenże sam sprawiają skutek.

A wiecie jak prosty lud nazywa u nas rok bieżący?..

Oto nadaje mu miano roku robaczywego.

Rzeczywiście robactwa namnożyło się strasznie chmarami. Jest to plaga w swoim rodzaju a dodać jeszcze należy iż plaga to trudna do usunięcia. Much mnóstwo, a nie brak i innych dręczycieli ludzkości skrzydlatych i nie skrzydlatych.

— To dowodzi, mówią niektórzy, wytepienia zupełnego w powietrzu pierwiastków cholerycznych, podczas bowiem trwania epidemii robactwa bardzo niewiele się okazuje a przedewszystkiem padają muchy.....

Wszakże nie pamiętam jaki już uważny badacz w zeszłym roku ślady epidemii cholerycznej na muchach dostrzegł i wszystkie symptomata zliczył drobniaczko.

Otóż... o postępie nauki!..

Są ludzie którzy podejmują się wywołać na muchach i innych indywiduach tegoż samego rodzaju sztuczną epidemię i poparci licznymi ogłoszeniami podejmują się uwolnić ludzkość od tej plagi.

Uwierzyłem temu; człowiek przesładowany chwytą się wszelkich środków ratunku, a wiadomo że w Warszawie, zwłaszcza w nowych domach, przesładowanie to na nas niewinnych mieszkańców wywierane do wysokiego doszło stopnia.

Poszedłem więc do sklepu.

Tam mi wręczono jakiś szary papier z portretem muchy po wszystkich rogach i przepisem użycia w środku, twierdząc że to najskuteczniejszy środek pozbycia się tych utrapionych owadów.

Dalej wręczono mi jakiś czerwonawy proszek, już nie perski ani szwedzki, ale innej nazwy.

I miksturę jakąś brunatnego koloru.

I nareszcie maść wcale nie ponętnej powierzchności, ani zalecającej się woni.

Obciążony temi wszystkimi łupami wróciłem try-

umfalnie do domu, przyrzekając sobie wypowiedzieć zażartą wojnę wszelkiemu stworzeniu do najniższej kategorii zwierząt należącemu, któreby poważyło się u mnie zagościć.

Przedewszystkiem obsypawszy miałkim cukrem papier, rozstawiłem go, podług przepisu, na oknach na miseczkach wodą napełnionych.

O bogi wszechmogące!

Skutek tej walnej trucizny był zupełnie odmienny, niżli się mogłem, niżli się miałem prawo spodziewać.

Widocznie usposobienie much, uczęszczających do mojego mieszkania, nie musiało być dokładnie zbadane przez wynalazców papieru trującego.

Nie unikały one zastawionej sobie uczty, owszem rzucaly się na nią żarłocznie i nie tylko cukier ale sam papier napoczęły.

Ale zamiast okazać jakieś oznaki nieusposobienia lub niezadowolenia nawet, po ukończonej uczcie zaczęły pisać wesoło, uważając widocznie że gimnastyka dopomaga do strawności, i kąsać bardziej niż kiedykolwiek. Trucizna papierowa dodawała im apetytu.

Po trzech dniach użycia tego zachwalonego środka, nie dostrzegłem ani jednego trupa na oknie, ale zato muchy moje utyły setnie i mógłbym się z niemi ubiegać o nagrodę na wystawie za opasy przeznaczoną.

Zropaczony, spostrzegłszy gdzieś w kącie martwe ciało jednej muchy, która padła widocznie skutkiem niestrawności, posłałem te zwłoki, starannie owinięty je w papier, chemikowi wynalazcy papieru, żeby, po dopełnieniu autopsji, odszukał śladów trucizny i zawiadomił dlaczego nie działa.

Czy odszuka — nie wiem, bo jakoś, jak z przykładów różnych sądzić można, nie zawsze się to udaje, to tylko pewna że ludzi łatwiej truć niż muchy...

To com mówił o papierze, stosuje się i do wszelkich innych ingrediencyj których tak znaczny zapas uczyniłem.

Po wyczerpaniu znacznego zapasu mikstury mój przysłały do mnie deputacją z podziękowaniem że tak dbały jestem o ich konserwację i rozmnażanie się, a wszelkie proszki i maście musiałem wyrzucić za okno, w tym przekonaniu że robactwo uznawszy je za właściwy sobie i higieniczny pokarm, pójdzie ich tam szukać.

* * *

Czytaliście zapewne już o maszynie do pisania. Tak, bez żartów, wynaleziono taką maszynkę.

Rzecz arcywygodna; każdy z was siada sobie najspokojniej przy biurku do którego maszyna jest przytoczona i nacisnąwszy pedał znajdujący się u dołu, uderza palcami po klawiszach; każdy klawisz odpowiada literze którą pióro w też pędy kręśli na papierze pod maszynę podstawionym.

To coś nakształt owych maszyn do składania czcionek, które w zeszłym roku pokazywano na wystawie paryzkiej.

Nie trzeba się troszczyć ani o odstępy pomiędzy wyrazami, ani o regularną odległość wierszy, ani o znaki pisarskie, maszyna bowiem sama już to uskutecznia. Należy tylko wprawiać się w pasaż i robić częste egzercycje. Kaligraf zmienia się w fortepianistę, wyrobiona biegłość palców główną tutaj stanowić będzie zasługę. Wprawdzie traci się przez to indywidualność charakteru pisma jaką każdy z nas mniej więcej posiada. A że indywidualność ta ma niemałe znaczenie, dowodzi tego nauka *charakteryki* o której niedawno wspomnieliśmy. Ale rozpoznawaj-że tu teraz charakter i usposobienie czyjeś ze znaków przez maszynę kręślonych. Nie wiem dlaczego, ale zdaje mi się że jeżeli ta maszyna stanie się praktyczną i upowszechni się na prawdę, to wydrze ona każdemu z nas jakby jego osobistą własność i nawet część zasługi.

Czekamy teraz tylko na wynalezienie maszyny do myślenia, któraby, podług pewnych ułożonych z góry przez mechanika formułek, dozwoliła myślowi wcielić się w wyrazy. Jedna kompletowałaby drugą. A zdaje się już chyba że wiek nasz przyzwyczaił nas do tego żeby nie wątpić o niczym. Zresztą myśl ludzka tak coraz bardziej włamuje się w utarte już tory, i ludzie tak zaczynają tracić swoją indywidualność, rozplącąc się w chwilę pomiędzy sobą

zdarkową i wytartą już monetą, że gotowiśmy i w ten wynalazek uwierzyć.

Będzie to, jak w katarynce, jakiś walec nabity drutami, powtarzający do nieskończoności jedno i to samo.

Pytanie nawet czy ludzie wiele na tym stracą, gdyż o tym co się pisze dzisiaj możnaby powtórzyć znane zdanie krytyki:

„Widzę tu wiele rzeczy nowych i dobrych, ale to co nowe nie jest dobrą, to zaś co dobre nie jest nowym.“

* * *

Zagęściły się pożary w naszym mieście.

Niemało wpływa na to suche a skwarne lato obecne, ze wszystkich bowiem stron donoszą nam o pożarach, w samym Londynie wydarza ich się po czterech na dzień. Paryż w tych czasach po kilkakrotnie klęska ognia srogo dotknęła, a w Konstantynopolu gdzie pożary przeszły w stan prawie chroniczny, dla ratujących niema ani chwili odpoczynku.

Nie jest to wprawdzie pociechą dla nas ale dowodzi że nie wyjątkowo tą plagą dotknięci jesteśmy, i że w każdym razie Warszawa, dzięki wybornemu urządzeniu straży ogniowej, obronnie jeszcze wychodzi.

Najdowodniej można się było przekonać o tym w czasie wielkiego pożaru na Solcu który silnie zagrożał tej fabrycznej części miasta zamieszkałej w oznaczonej części przez pracowitą, choć ubogą ludność.

Budynki przeważnie drewniane, oraz znaczne nagromadzenie materiałów palnych w miejscu właśnie gdzie powstał pożar, stanowiły rzeczywiste niebezpieczeństwo.

A dodać do tego trzeba że oprócz fabryki wyrobów chemicznych, która już dotknięta została ogniem, znajdowała się w bliskim sąsiedztwie fabryka gazowa, posiadająca wielkie zapasy tego palnego i wybuchającego gwałtownie materiału, nagromadzone w trzech olbrzymich rezerwoarach.

Naprzeciwko przez ulicę tylko młyn parowy prywatny, w niewielkiej odległości zakłady młyna parowego rządowego, które już kilkanaście lat temu tak strasznie nawiedzone zostały pożarem, zaś po bokach składy drzewa, ciągnące się nieprzerwanie.

Prawdziwie było lękać się o co.

A jednak wczesny, skuteczny i systematyczny ratunek potrafił ograniczyć klęskę do niezbyt wielkich stosunkowo rozmiarów.

Cudem to prawie nazwać można, zwłaszcza bacząc na silny wiatr który wyjątkowo w tym dniu pannał, roznosząc iskry i żarzące się węgle do znacznej nawet odległości.

W pożarach które tak wielkie przybierają rozmiary, najważniejszym jest przerwanie komunikacji i ograniczenie ognia przez szybkie rozebranie sąsiednich budynków, parkanów etc.

Trzeba trochę poświęcić dla ratowania wszystkiego.

Ale pamiętać należy że ratunek tego rodzaju połączony jest z wielkim niebezpieczeństwem dla ratujących z których niejeden kalectwem, a czasem nawet śmiercią przypłaca od wagę i poświęcenie.

Tym razem oprócz dziesięciu ludzi mniej więcej niebezpiecznie ranionych ze straży, nawet brandmajstrzy pp. Skowroński i Stuart ulegli silnemu poparzeniu oczów, co dowodzi że kierując ratunkiem, nie oszczędzali wcale siebie.

* * *

Te często powtarzające się wypadki powinnyby nakłonić ludność tutejszą do podwojenia środków ostrożności dla uwolnienia się od groźnej klęski.

I dziwimy się także że przy obecnym ułatwieniu ubezpieczenia własności ruchomej i nieruchomości, nie wszyscy jednakże właściciele znaczniejszych zakładów korzystają z tego dobrodziejstwa. Raporta urzędowe wskazują że dwa wielkie składy drzewa z których jeden poniósł stratę na 20,000 rsr., drugi na 8,000 rsr., były niezaasekurowane. Wszakże za pomocą tak małej stosunkowo opłaty, można było się uchronić od tak znacznej szkody.

Za granicą istnieje zwyczaj, że nawet sprzęty domowe, meble, garderoba i bielizna oraz przybory go-

spodarskie bywają ubezpieczone. U nas w kilku tylko zamożniejszych domach zachowano tę ostrożność, resztę zaś pozostawiono na wolę Bożą. Wiemy nawet o wielu znaczniejszych sklepach i handlach które ociągają się z ubezpieczeniem.

Jakakolwiek wpływa na to przyczyna, czy skąpstwo, czy nieogledność, czyli też wprost tylko opieślność, wada potrosze nam wszystkim wspólna, zawsze to rzecz naganna. Nie dla jednego może gospodarstwa ten dobytek domowy stanowi cały majątek, nabyty długoletnią pracą i poświęceniami, a jedna chwila nieprzewidzianego nieszczęścia może wszystko zniszczyć do szczytu.

Wszakże nie żałujemy na różne wydatki niepotrzebne, co chwila przysparzamy sobie ciężarów bez których łatwo moglibyśmy się obejść, a to co stanowi nasze bezpieczeństwo, co może nam zapewnić myśl spokojną i sen swobodny, puszcza my mimo chodem.

Znamy nawet takich którzy popłacili wkupne i uiszczali składkę przez parę lat regularnie, a następnie bez żadnego rozsądnego powodu zaprzestali płacić.

Więc przełamawszy już pierwsze lody które wielu odstrasza, samowolnie pozbyli się dobrodziejstwa co w razie klęski stałoby się dla nich niemałą ulgą.

Podobni oni są do tego chłopka z powieści Ludowej który w październiku zamierzając sobie kozuszek kupić na zimę, począł wyliczać na palcach na ile czasu może on mu być potrzebny.

— Co tam, powiada sobie, listopad, grudzień, styczeń, luty, marzec i już ciepło, niewarto kupować kozucha.

Prawda że wyliczenie tych pięciu miesięcy nie wiele go czasu kosztowało, ale gdy przyszły mrozy grudniowe, zaziębił się, rozchorował, zmarł i lata się nie doczekał.

Ta stara powiastka powinna być nauką dla niedojrzałego z tych którzy przewidywać nie chcą lub nie umieją.

Otrzymałmy następującą odezwę.

Szanowny redaktorze.

Wyczytawszy w Nr. 27 seryi II Tygodnika Ilustrowanego w życiorycie ś. p. Michała Wiszniewskiego wiadomość o dziełku „Pamiętka po dobrym ojcu,” winienem dla uzupełnienia jęj dodać, co z ust samego Wiszniewskiego slyszalem.

Będąc jednego roku w Krakowie, odwiedziłem M. W. który w rozmowie zapytał się mnie o Teodozgo Sierocińskiego, dawnego kolegę i przyjaciela. Między innymi wyrzekł p. W.: „Wdzięczność winienem p. Teodozemu za przysługę, którą mi wyświadczył co do Pamiętki po dobrym ojcu. Napisałem to dziełko, cierpiąc mocny ból głowy i skutkiem tego czułem jego niedokładność. Czasu do poprawiania go nie miałem, to musiałem śpiesznie za granicę wyjeżdżać. Udaje się więc do księgarza Glücksburga, w zamiarze sprzedania rękopisu, nie tając przed nim, że ten potrzebuje przerobienia w wielu miejscach. Księgarz przyrzeka go nabyć, z warunkiem, abym ja albo który ze znanych literatów pod nim się, jako autor, podpisał. Poszedłem, mówił dalej p. W., do Sierocińskiego, prosząc aby zajął się przerobieniem i podpisu swego nie odmówił. Lubi zrazu nie chciał na to przystać, zgodził się wreszcie, gdym mu przedstawił, że potrzebuje na drogę pieniędzy. Wyszło pierwsze wydanie Pamiętki, z oznaczeniem artykułów przerobionych i niezmiennionych. W następnych wydaniach, dokończył M. W., Sierociński tak przerobił Pamiętkę, że jęj za swoje prace uważać nie mogę.”

M. Łyszkowski.

Przegląd polityki zagranicznej.

21 sierpnia.

Dzień 15 sierpnia był prawdziwą niespodzianką. Dzienniki francuzkie na kilka dni przed uroczysto-

ścią napoleońską przepowiadały że cesarz Francuzów wystąpi to z wojowniczą, to z pokojową przemową, a nie brakło i zapewniających że Napoleon III wystąpi z manifestem do narodu. Wszystkie te nadzieje spełzły na niczém. Napoleon przybył do Paryża, odbył przegląd armii i gwardyi narodowej i żadnej nie miał przemowy, ani do wojsk zgromadzonych, ani do ciała dyplomatycznego. Oprócz listu cesarskiego do dowódcy gwardyi narodowej, w którym władzca Francuzów chwali postawę gwardyi i oświadcza że liczyć będzie zawsze na jęj patriotyzm, nie znamy dotąd żadnego innego dokumentu politycznego z dnia 15 b. m. któryby mógł mieć stanowcze jakie znaczenie. Jedynym faktem jest owo milczenie Napoleona III, które da powód do najrozmaitszych uwag i przypuszczeń, że są te przypuszczenia niekoniecznie będą pokojowe, to widzimy już dzisiaj, skoro zostający z rządem francuzkim w stosunkach Gaulois, powiada w jednym z ostatnich numerów że to milczenie cesarza jest najuczciwszym aktem jego panowania, gdyż czas nie nie znaczących uspokojen i dziecinnych pocieszeń już minął. Zresztą i angielskie dzienniki upatrują wojenne zamiary Francyi a Saturday Review (Przegląd sobotni) bez ogródek powiada że „w tęg chwili cesarstwo nie jest pokojem lecz ciągle grożącą i odkładaną z dnia na dzień wojną.” Wewnętrzny stan a raczej usposobienie społeczeństwa francuzkiego także wiele zostawia do życzenia. Jedni powodowani zazdrością wojskową gorąco pragną wojny z Prusami, drudzy bawią się w ciągle manifestacje przeciw którym rząd z całą surowością występować musi.

Według późniejszych sprawozdań o pobycie królowej angielskiej w Paryżu, królowa Wiktorya nie odwiedziła cesarzowej Eugenii z powodu słabości zdrowia i spoczynku nakazanego przez lekarzy. Pomimo to utrzymują że stosunki rządu francuzkiego z angielskim są jaknajserdeczniejsze. Donoszą także z Paryża że nastąpiło zawarcie przymierza z Hiszpanią. Hr. de Sartiges, ambasador francuzki w Rzymie, mianowany został senatorem.

Dzienniki pruskie coraz silniej zajmują się kwestyą przymierza Francyi z Belgią i Holandją. Prasa półurzędowa nie tai się ze swoim niezadowoleniem i zapowiada że Prusy uważałyby taki związek jako casus belli, jako wyraźną ze strony Francyi zaczepkę. Jednocześnie prasa pruska chwali p. Beusta za jego mowę na uroczystościach strzeleckich, lecz bacznie przypatruje się jego działaniom, obawiając się aby Austria nie chwyciła się znowu polityki niemieckiej. Trzecim nareszcie i to nader ważnym przedmiotem badań prasy niemieckiej jest obecne stanowisko hr. Bismarcka, który si dzi na wsi pod pozorem choroby, a w rzeczywistości ma być zdrow i wesół. Sądzą, że hr. Bismarck opuści ster rządu a miejsce jego zajmie generał Mannteufel. O ile w tęg prawdy, trudno dociec, nie zdaje się nam wszakże aby przypuszczenia te ogołoczone być miały ze wszelkiego prawdopodobieństwa.

Z Londynu donoszą że księżę i księżna Walii udają się do Kopenhagi, ztamtąd zaś do Aten celem odwiedzenia króla Jerzego. Wybory w Anglii już rozpisanie według nowego prawa wyborczego. Wszędzie prawie liczba wyborców podwoiła się tak dalece że w Głazgowie np. i w Birminghamie to powiększenie do 300 proc. doszło. Zapowiedź to zupełnie nowego pod każdym względem parlamentu i dalszego rozwoju społecznych reform. W Irlandyi ciągle zaburzenia. Jedni domagają się zniesienia kościoła urzędowego, inni łączą się w bandy feniańskie. inni wreszcie dopuszczają się morderstw. Wszystko to dowodzi że pomimo zapewnień dzienników spokojność w Irlandyi jeszcze przywróconą nie została. Dzienniki londyńskie dowiadują się z Ameryki że Stany zjednoczone postanowiły uznać niezależność wyspy Kandyi, że prezydent Johnson wysłał do Stambułu notę domagającą się rozbrojenia cieśniny dardanelskiej i otworzenia jęj dla wszystkich. Wieści te wymagają potwierdzenia i mało zasługują na wiarę.

Ostatnie depesze. Paryż 19 sierpnia. W Bergen w Norwegii rozruchy wielkie. Powodem — podrożenie kartofli. Dziś załoga i gwardya obywatelska musiała bagnietami rozpedzić tłumy. Z obu stron

są ranni, gdyż tłumy rzucaly kamieniami. Mnóstwo osób aresztowano.

Wiedeń 19 sierpnia. Według Presse wiedeńskiej z powodu groźnego stanu na wschodzie, gabinet ograniczył wywóz broni i amunicyi do Serbii, Rumunii i Bośni.

Wiedeń 19 sierpnia. Korespondenci z Mołdawii zaręczają że nowe zbrojne bandy gotują się do przeprawy przez Dunaj do Bulgaryi.

Obrazek z Czarnolesia.

Księżę poetów wziął córkę w ramiona,
Usiadł pod lipą w prostocie;
Od drzew się chwiała słoneczna zasłona,
Namiot w szmaragdach i złocie.
I potok blasku padł przez wieszczce lica
Na twarz dzieciny,
Koroną tęczy oblał skarb rodzica
Jedyny.

Skronie dziewczęcia jak lilie kwitnące
W słońca powodzi schylone,
Dwie niezabudki jęj oczy błyszczące,
Ogniem brylantów oszlone.
Tak w morze złota, w światłą toń ujęta,
Słowiańska Safo dziecinna
Szczebioce ojcu, jak gołąbka święta,
Niewinna.

Szczęśliwy ojczel... w ten uśmiech, w to lice
Patrząc, ty pieścisz nadzieję!
Przy sercu dziecka utulasz tęsknicę,
Ach! z ócz jęj niebo się śmieje.
Kastalskim zdrojem, perlorodnym morzem
Tych ócz spojrzenie;
Z nich płynie w myśl twą świętym zdrojem Bożym
Natchnienie.

Pieść ją! Nie tajno-ć z kąd rodem to dziecię,
Z kąd ta rzewliwość jęj oka,
Gdy słowo pieśnią z jęj ustek się plecie,
Z kąd świętość, prawda głęboka?
O! Bóg nam często zsyła w ludzkiej krasie
Jasnego stróża-aniola;
Lecz go do niebios w gorzkiej próby czasie
Odwoła.

Zgaśnie, jak promień w kropelce kwitnący,
Gość twój o złotych warkoczach;
Przeleci życie, jak ton ów płynący
W jasnych błękitu przezroczach.
Z wspomnienia bólem wionie słów jęj echo,
Cień jęj daleki,
Lecz twarz pożegnasz, co twych dni pociechą
Na wieki!

Patrz, dziecię śpięwa, w zroszonej zieleni
Nurza różaną swą rączkę,
Z gałązek splata do włosów pierścieni
Obsianą w perły obrączkę.
W niej ogień słońca rozsiał dyamenty
W niebiański nimb dookoła,
A z lic śpięwaczki kwitnie uśmiech święty
Aniola.

O śmieję się ojczel! nad grób jęj za chwilę
Śpięw twój żalobny popłynie;
Śpięwaczą lutnię na dziecka mogile
Cmentarny cyprys owinie.
Dziś tobie w pe. eł, w rannych łez ozdobie
Do piersi dziecię się tuli,
A jutro perłą błysnie łza na grobie
Urszuli.

Adela Hanicka.

DRUSKIENNIKI.

W gubernii i powiecie grodzieńskim, przy ujściu do Niemna rzeczki Rotniczanki, o 39 wiorst od Grodna, 110 od Wilna, 18 od stacyi petersbursko-warszawskiej kolei żelaznej Porzecze, położone są Druskienniki, mineralne źródła, powszechnie już dzisiaj znane z niezaprzeczonej w niektórych cierpieniach skuteczności swojej.

Piękne, dopiero przeszło sto porządnych domów zawierające miasteczko, było przed kilkudziesięciu laty nędzną, bo zaledwie sześć chat liczącą wioską nazwaną Druskienniki, od wyrazu *druskas*, znaczącego sól po litewsku.

Przez długi przeciąg czasu druskiennickie źródła tylko przez okolicznych mieszkańców, a bardziej jeszcze przez włościan znane, im jedynie służyły jako skuteczny środek lekarski.

Badania przeszłości Druskiennik wykazują nam, że ich okolice częstemu ulegały spustoszeniu przez Zakon Krzyżacki, podczas krwawych jego wypraw na pogańską jeszcze Litwę.

W kronice Piotra Dusburg, wydanej przez Krzysztofa Hartknocha, znajdujemy pod rokiem 1311, za panowania na Litwie księcia Witenesa, opis spustoszenia okolic druskiennickich i spalenia miasta Grodna przez Henryka de Plecke, wielkiego komandora zakonu teutońskiego. Świadczą także o starożytności tego miejsca liczne mogiły pogańskie, tudzież ślady starego litewskiego miasta zwanego Rajgród, jako i mnóstwo podań ludowych.

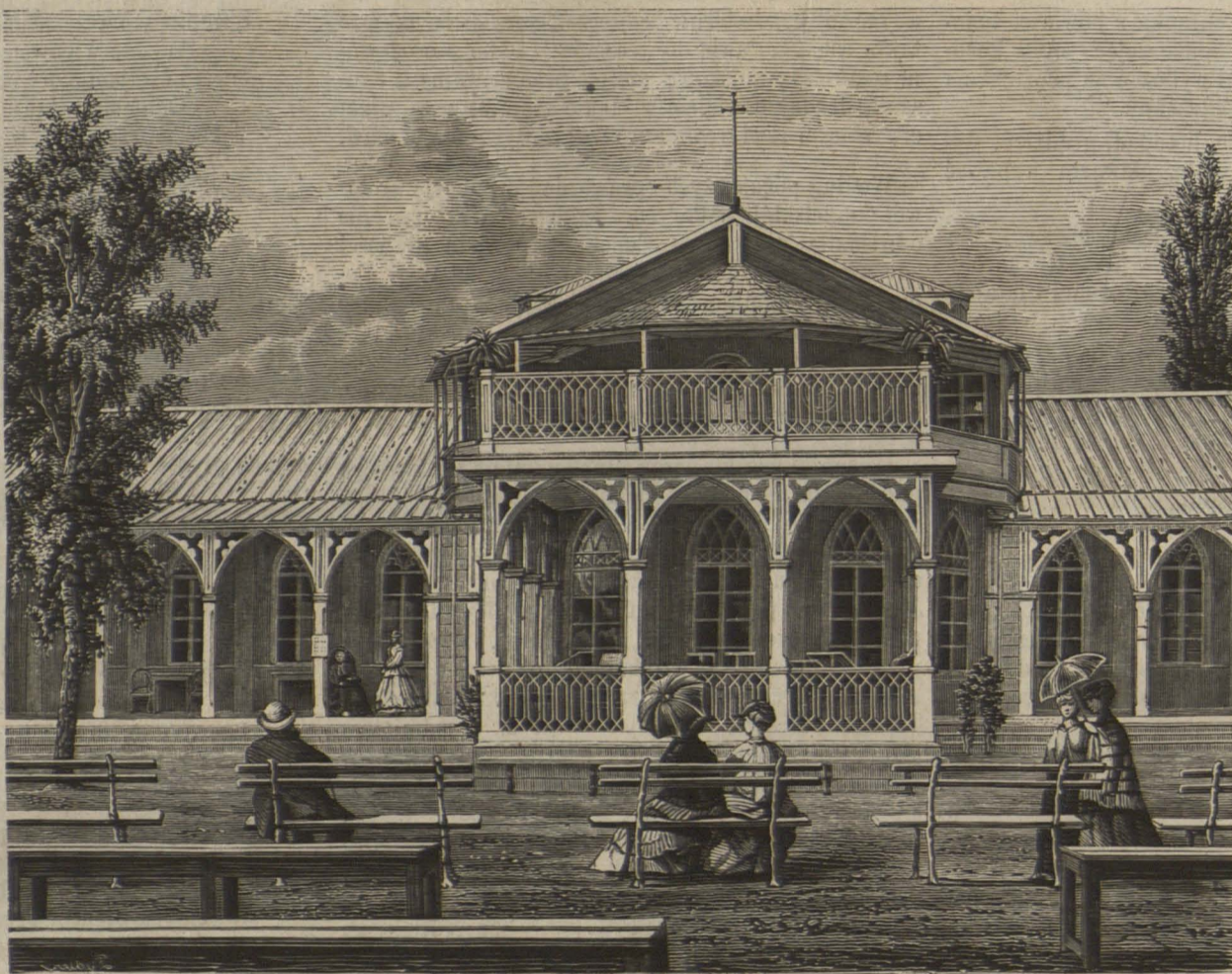
Roku 1830 oglądano i analizowano druskiennickie wody, a uniwersytet wileński polecił bliższe rozpatrzenie mineralnych źródeł zastępowanemu profesorowi chemii Ignacemu Fonbergowi.

Ale dopiero od roku 1837 zaczyna się świetniejsza dla Druskiennik epoka. Ustanowiony wtedy osobny komitet, zajął się tem wszystkiem, co tylko pożytecznego dla nowego zakładu można było uczynić.

Z summy w ilości 35,000 rs. ze skarbu na ten cel wyznaczonęj, wybudowano łaźienki urządzone na wzór zagranicznych, w któ-



Kościół w Druskiennikach.



Gmach reżury w Druskiennikach.



Łazienki w Druskiennikach.

rych codziennie przeszło 600 osób kąpiele przyjmować może; oczyszczono źródła, zabezpieczono je od wylewów Niemna, a z przyrodzenia już uroczą miejscowość Druskiennik, sztuką jeszcze ulepszyć się starano. W przeciągu lat trzech stanęło czyste i porządne miasteczko, zbudowano domy rządowe, hotele, teatr, salę do koncertów i tańców, z uzbieranych składek wymurowano kościół, a z dobrowolnych ofiar założono dom przytułku dla chrześcian i szpital dla starozakonnych.

Przeprowadzenie drogi żelaznej petersbursko-warszawskiej, ważną także stanowi dla Druskiennik epokę, z powodu prędkości, łatwości i taniości komunikacyi. Z Petersburga potrzeba 20 godzin czasu dla przybycia do Druskiennik, z Warszawy 8, z Wilna 5, z Grodna 2 godziny.

Przejęcie w r. 1865 zakładu wód druskiennickich na własność prywatną pułkownika Konstantego Strandmana, świetniejszej jeszcze dla tego zakładu każe się spodziewać przyszłości. Staraniem nowego właściciela wiele poczyniono ulepszeń. Zamiast siły koni, zastosowano maszyny parowe dla dostarczania wody na kąpiele; porobiono nowe wodociągi i wodociągi; przy łaźienkach poprzerabiano wszystkie aparata miedziane; łaźienki gustownie umeblowano i przerobiono dla większej wygody leczącej się publiczności; przy tychże łaźienkach zaprowadzono kąpiele spadowe, deszczowe, parowe i spirytusowe, ulepszono i umeblowano sale do koncertów i tańców; zaprowadzono table d'hôte z francuską kuchnią; ulepszono i znacznie powiększono ogrody angielskie i park do przechadzki nad Niemnem; na tymże Niemnie, jakoteż na jeziorze druskiennickim, zaprowadzono wygodne i bezpieczne łodzie dla przejażdżki publiczności; urządono hotel w miasteczku ze wszystkiemi wygodami, a nawet i komfortem; na stacyi kolei żelaznej Porzecze, odległej o wiorst 18, zaprowadzono dylizanse, pojazdy i pocztowe bryczki dla przedsięj komunikacyi; urządono w miasteczku stacyą telegrafu, co wszystko znaczne za sobą pociągnęło koszta. A jednak

W CZASIE ŻNIW.

Szkice humorystyczne Ksawerego Pillatego.

zbiierająca się u wód publiczność, niezawsze zdaje się być zadowolona, i nieraz najniesłuszniejsze i najniesprawiedliwsze do właściciela rości pretensye.

Nie będziemy tu rozbiierać chemicznych własności wód mineralnych druskiennickich, ani też ich pod względem lekarskim skuteczności, ograniczymy się tylko na przedstawieniu w tym względzie zdania obeznanych z temi wodami lekarzy, w rzędzie których najpierwsze trzymają miejsce: Ignacy Fonberg, zasłużony profesor chemii w kijowskim uniwersytecie, profesor wileńskiego uniwersytetu Adamowicz, Ksawery Wolfgang, wydawca niegdyś pisma periodycznego w Druskiennikach „Ondyna druskiennickich źródeł“, Jan Pilecki, były naczelny lekarz zakładu, przez lat 26 zajmujący się stałą praktyką przy tymże zakładzie, doktorowie: Choński, Pawłowski, Naumowicz, Hryniewicz, Moczyński i wielu innych. Świadczą oni jednogłośnie o skuteczności wód druskiennickich w rozmaitych chronicznych, częstokroć bardzo uporczywych chorobach, a mianowicie w cierpieniach skrofulicznych, artrytycznych, reumatyzmie, w cierpieniach trzewiów brzusznych, kołtunie, paraliżu, w osłabieniach, jakoteż w niektórych chorobach nerwowych.

Zeszłego, 1867 roku, było w Druskiennikach przeszło 600 rodzin, najwięcej z Petersburga, tudzież z królestwa polskiego, z wielko-rossyjskich a także i z litewskich gubernij. Lekarzy zajmujących się stałą u wód mineralnych praktyką było sześciu; kąpeli przez cały sezon wybrano przeszło 25 tysięcy.

Patrząc na wszystkie poczynione ulepszenia i na coraz to większą ilość zbierających się chorych, należy się spodziewać że wkrótce Druskienniki staną na równi z Kissingen, Kreutznach i innymi tegoż rodzaju zakładami za granicą.

A. Soltan.

Kronika zagraniczna,

przez

J. I. Kraszewskiego.

Henryk Heine, ze wspomnień brata Maksymiliana.

Gdybyśmy bliżej siebie nie mieli przykładu, iż na literaturę są doby uprawy i chwile spoczynku a wyczerpania, w których do zajęcia się, a co ważniejsza do tworzenia genialnego żadne mecenasostwa, zachęty, wołania i pobudzania jej nie skłonią, wielce nauczającym mógłby w tej mierze stać się widok Francji i Niemiec. Mimo corocznych sprawozdań z lipskiego jarmarku księgarskiego, dowodzących jak ogromną ilość ksiąg produkują Niemcy, i statystyki prasowej we Francji, świadczącej o ożywionym handlu bibułą, — któż nie przyzna że skromniejsza chwila owa Schillera i Goethego, a w ostatku Heinego i Börnego więcej stokroć miała życia i ruchu; że Wiktor Hugo młody, Sand początkujący, Musset a bodaj mdły Lamartine, (którego godło *spira, spira*, śpiewaj i miej nadzieję — już dziś niestety jest tylko pamiątką) żyli w epoce dla literatury pomyślniejszej. Książka była wówczas chwytaną... a



O architekturo wiejska!... jakżeś ty strasznie niewygodna!

dziś... dziś wszystko to mało kogo obchodzi.

Powtarzaliśmy to nieraz, bo prawda ta co chwila się czuć daje: geniusze zmieniły się na zdawkową monetę talentów i na bankocetle rzemieślnicze... Wyrabia się papieru drukowanego moc, ale jakże z niego ducha wiać ma, gdy ducha weń nie tchną ci co go na targ przynoszą? Pisarstwo stało się rzemiosłem nie potrzebującym natchnienia, ale wprawdy;

wywiązujemy się z przyrzeczenia powiedzenia o nich nieco obszerniej.

Szczególniejszym trafem z trzech braci Heinów, żaden nie był wolny od choroby literackiej, a dwóch w ciszy błogiej zajmowało się redagowaniem pism periodycznych, o których wszakże świat wiedział niewiele. Jeden z nich, jeśli się nie mylimy, dotąd w Wiedniu wydaje *Fremdenblatt*; drugi, doktor medycyny,

zamieszkały w Petersburgu, drukował jakiś Magazyn literaturze poświęcony, a później właściwszą powołaniu swemu gazetę medyczną. Temu to, Maksymilianowi, autorowi Wspomnień, Henryk przekazał swoje pamiętniki, papiery, wydanie rzeczy pośmiertnych i pieczę nad swą sławą. Maks wywiązał się sumiennie z polecenia, a pierwszym owocem tego jest właśnie książka którą mamy przed sobą. Natchnęła ją miłość wielkiego brata, cześć dla geniuszu jego, pewna duma rodzinna i zadowolenie z tego dowodu zaufania iż zmarły jemu, nie komu innemu, zlecił stać na straży drogocennych pamiątek.

Nie chcielibyśmy sobie żartować z tego wszystkiego, ale przeczytawszy dobrodusze wspomnienie Maksa, jesteśmy przekonani najmocniej, iż dowcipny Henryk dlatego jemu zostawił ten legat, iż go nie sądził zdolnym w najmniejszej rzeczy naruszyć spuścizny, a to dla dwóch przyczyn, iż nie śmiałby i nie potrafił. Wistocie w stylu, idei, formie, usposobie-



Jak was szanuje, nie mam drobnych

niu, talencie Maks tak stoi daleko od Henryka, jakby mu był dalej niż stryjeczny. Ale zato ma cześć i poszanowanie dla geniuszu brata, a że pisze co słyszał, widział, często daję rzeczy zajmujące, obok niezmiernie dziecinnych.

Znaczna część wspomnień tych ułamkowo ukazała się najprzód w *Gartenlaube*, gdzie drobne artykułki te, nie grając roli zbyt pretensjonalnej, skromnie w kąciaku stojąc, niezłe wyglądały. Tu zebrane i zszyte w książkę, zawodzą. Jedna tylko genealogia domu Heinów zyskała wiele. Mamy ją jaknajdokładniej skróconą, znamy wszystkie linie i gałęzie, pokrewieństwa i chronologie...

Obok wielkiego Henryka, stoi tu równie prawie wielki, a rzeczywiście w sposób bardzo zajmujący odmalowany, poczciwy stary bankier Salomon Heine. Rozumiemy doskonale dlaczego te dwie wielkości, połączone z sobą tak blisko familijnymi węzłami, nigdy w dobrej zgodzie żyć nie mogły, choć Salomon do ostatka wiele świadczył Henrykowi i jego rodzinie.

Salomon miał także swe fantazje; miał nawet Harun-Al-Raszydowskie wycieczki dobroczynne, lubił czynić dobrze, ale żądał pewnego ładu w życiu, trochę grzeczności i wdzięczności, mniej zrozumienia i buty, — a Henryczek dawał mu tylko do zrozumienia, iż powinien się mieć za najszcześniejszego iż nosi nazwisko przezeń wstawione.

Równie z pamiętników Maksa, jak z korespondencyj Heinego, przekonać się łatwo, iż Henryk nigdy w życiu nie przyznał się do żadnego błędu ani omyłki. Postępował sobie najdziwniej, lekceważył przyjaciół, nadużywał ich dobroci, ale w oczach własnych wydawał się czystym i niepokalanym, a wszyscy co z nim mieli do czynienia, wiekuiście winni byli i postępowali sobie najniegodziwiej. Niektóre z tych listów tłumaczących jego postępowanie, są istniami arcydziełami sofistyki.

Serce było dobre pewnie; ale jak w najpiękniejszej z jego poezyj, najczęściej wybrzyk niespodziany łączy zmienia w obrzydzenie i wstręt, — tak w życiu najszlachetniejsze poruszenie kończyło się najczyniejszym egoizmem. Mało kto z poetów nam znanych tak jawnie i naiwnie wielił siebie jak on. Proszę przypomnieć co mówi o sobie, kończąc ową sławną niby biografią, a wistocie pośmiertną kondemnatę Börnego.

Nie można zaprzeczyć że talent, świeżość, forma urocza uczyniły go nad miarę może popularnym, ulubieńcem Niemiec całych; ale i L. Börne miał poniekąd słusność, zarzucając mu brak *charakteru*. Heine pomścił się na grobie jego tą dziwną książką, która jest prawie złym uczynkiem, a przynajmniej niesprawiedliwością wielką. A jednak nie wypłynęła ona ze złego serca, ale z zadrasniętej miłości własnej. Börne odjął mu *charakter*, Heine uczynił go niemal Don Quichotem rewolucyj.

Ciekawe spotkanie z Goethem opisuje Maks w swęj książeczce. Goethe był w domu rodziców Heinego w czci największej; szczególnie kobiety czytały go nieustannie, a i Henryk, jako pierwszy podarek Maksymilianowi, dał egzemplarz Fausta, na którym napisał:

Dieses Buch sei Dir empfohlen,
Lese nur, wenn du auch irrst;
Doch wenn du's verstehen wirst,
Wird dich auch der Teufel holen...

(Utwór ten polecam tobie,
Czytaj go, bo tego wart;
Lecz gdy go przetrzawisz w sobie,
To i ciebie porwie czart.)

Później sława Goethego, zajmowanie się nim nieustannie już nie w smak szły rodzinie. Ojciec nawet nie mógł znieść tych ciągle nawijających mu się poezyj i musiano w domu na dziełach Goethego sfalszować tytuł: *Gedichte von Schulze*.

Po pierwszych próbach Henryka, młody poeta, niespokojny, pragnął koniecznie widzieć mistrza i przekonać się jakie też wrażenie te głośnie jego poezje zrobiły na Jupiterze. Jupiter zdaje się umyślnie je chciał ignorować. Przybył Heine do Wejmaru i grzecznie został przyjęty; ale rozmowa choć nie o pogodzie, toczyła się uparcie o najprozaiczniej-

szych przedmiotach, a z tego toru niepodobna jej było sprowadzić. Goethe wspominał w niej nawet o wspaniałej ulicy topolowej między Wejmarem a Jeną. Nagle mistrz wystrzelił do pochmurnego młodzieńca:

— Czemu się wacpan teraz zajmujesz?

Młody poeta odparł żywo:

— Piszę Fausta.

Goethe, którego druga część Fausta jeszcze się nie ukazała naówczas, zamilkł chwilę i sarkastycznie dodał:

— Czy pan ma jakie inne interesa w Wejmarze?

Na to Heine:

— Przystępując próg waszej ekscelencji, wszystkie interesa moje w Wejmarze skończyłem.

Uklonił się i wyszedł.

W czasie pobytu Heinego w Monachium, na dworze bawarskim znajdowała się księżna, która lubiła miéwać u siebie ludzi znanych z talentu. Raz, gdy wstawano od stołu, przy którym rozmowa toczyła się o młodym genialnym poecie, a jedna z księżniczek oświadczyła iż bardzoby rada poznać autora poezji: „Ein Fichtenbaum steht einsam,“ — księżna uznała to łatwem i natychmiast obiecała posłać po niego, wiedząc gdzie go szukać. Wyprawiono więc królewskiego kamerdynera, zapraszając Heinego na czarną kawę. Poseł wywiązał się grzecznie i przyzwyciężenie z polecenia.

— Kochany przyjacielu, odparł na to Heine, bądź łaskaw jęj królewskiej wysokości oświadczyć najgłębsze moje uszanowanie, a zarazem najpokorniej objaśnić, iż mam zwyczaj tam pić czarną kawę, gdzie jadłem obiad.

Choć Heine obrał był sobie prawo za główny przedmiot i chodził na ten wydział w Getyndze, nie mógł wytrzymać, żeby i z nauki i z profesorów nie drwić w sposób najniełatościwszy. Najukochańszego nauczyciela, który pandekta wykładał, nie poszanował; ulicę przy której było kolegium prawne, przewzwał Pandektengasse. W dodatku przez znajomych i przyjaciół puścił wiadomość po mieście, że na tej uliczce w nocy duch pokutuje, i że to było widmo nieszczęśliwego studenta zmarłego z nudy, które nie będzie mieć póty spokoju, aż profesor choć raz powie coś dowcipnego.

Ucinki Heinego spowodowały, że kolegium przeniesiono na inną ulicę, ale historyjka o pokutującym duchu, mutatis mutandis, w ustach ludu pozostała.

Gdy Heine leżał już chory w Paryżu, przybył do niego Maks. Mówiono dla rozrywki o najrozmaitszych przedmiotach, a w końcu o procozym duchu i darze wieszczania poety. Maks dowodził, że darem prawdziwego poety jest zawsze to jasnowidzenie przyszłości.

— Nie najlepszym-że tego dowodem, spytał, jesteś ty sam Henryku? Albożes w młodości swęj nie wywróżył sobie sławy? Jestem pewien, dodał Maks, że kiedyś w tym Düsseldorfie, w którym żyliśmy dawniej, postawią ci pomnik.

— Ale ba! w Hamburgu mi go już postawiono.

— Jaki? gdzie? zapytał Maks.

— Przecież wspaniała kamienica Juliusza Campe, mojego wydawcy, jest pomnikiem powodzenia moich pieśni.

Z tym Juliuszem Campe, ileż to nieszczęśliwych miał rachunków i nieporozumień.

Heine, który nigdy rachować nie umiał, wiecznie potrzebował pieniędzy, a naówczas pożyczal lub brał u Mosera, u brata, u Campego, u pierwszego lepszego kogo spotkał.

Bratu Maksymilianowi idzie o to wielce, aby nie posadzono rodziny, iż w potrzebie dała ginąć i mrzecz głodem wielkiemu poecie.

„Dochody Heinego prywatne, powiada, wynosiły często więcej niż 15,000 franków rocznie; ale poeta dwa razy tyle potrzebował. Trafiło się raz iż w przeciągu jedenastu miesięcy w Paryżu, zmienił dziewięć razy mieszkanie. Każdy wie co to kosztować mogło. Znanę zresztą podróż Henryka po Niemczech, Włoszech, Anglii, Francji, potem kilkoletnie wędrówki do kąpiel morskich, często z rodziną, nie dowodzą nędzy i niedostatku.“

Ponieważ wspomnieliśmy o tych podróżach, nie zawadzi przytoczyć pierwszą właśnie do Londynu, w której i ów przezacny stryj bankier Salomon występuje.

Heine właśnie był napisał swoją tragedją Radcliff. Rano siedzieli przy kawie ze stryjem Salomonem.

— Chciałbym też ojczyznę mojego Radcliffa zobaczyć, rzekł Henryk.

— No, to jedź, odparł stryj.

— Tak, ale w Anglii życie drogie.

— Wszakże niedawno dostałeś pieniądze.

— Prawda, na chleb powszedni; — ale dla imienia, dla reprezentancyi trzebaby mieć przyzwoitą kredytywę na Rotszyldów.

Stryj uznał że dla reprezentancyi kredytywa pozorana może wistocie była potrzebna, i Henryk, który świeżo od niego dostał pieniądze a od matki sto ludiorów, otrzymał jeszcze reprezentacyjną kredytywę na 10,000 franków, z poleceniem gorącym do Rotszyldów.

Przy pożegnaniu Salomon jeszcze mu raz wytłumaczył, że kredytywa owa była nie do użycia, tylko dla popisu.

Ale we dwadzieścia cztery godzin po przybyciu do Londynu, Henryk poszedł do Rotszyldów i kazał sobie owe 10,000 franków wypłacić. Następnie z listem polecającym zaprezentował się baronowi James, który go zaprosił na obiad.

Można sobie wystawić gniew stryja Salomona, gdy pierwsza poczta przyniosła list od Rotszylda, ale razem oznajmienie o wypłaconej kredytywie. Scena była niemal tragiczna, bo starzec wpadł w nieopisane oburzenie na synowca.

Heine w liście tłumaczył się że uważał to za podarek stryja, i wykrecał się tém, że stary Salomon zawsze mu mawiał dając nauki, iż należy się ubezpieczyć. Otóż i on tylko się ubezpieczył.

Gdy po tej awanturze pierwszy raz zjawił się przed Salomonem, bankier napadł nań w niesłychany sposób. Kazanie było długie; Henryk milczał, narzeczcie odezwał się:

— Wiesz stryjaszku co jest w tobie najlepszego? Oto że nazwisko moje nosić masz zaszczyt.

I wyszedł z pokoju.

— Wystawcie sobie, mówił później poczciwy Salomon do Maksa, opowiadając tę historją, wszakże on za cnotę to sobie poczytuje i nadzwyczajną bezinteresowność, iż ja mu za jego listy osobno honoraryów nie płacę.

Wistocie, raz Henryk w liście do stryja wyraził się: „Kaźde słowo moje, które na papier rzucę, jest dla mnie gotowym groszem.“

Pomimo to Salomon do śmierci znaczną pensją mu wypłacał, ale niedziw że go zwał *najdroższym* z synowców.

To co brat Maksymilian podaje w początku Wspomnień jako materyał do charakterystyki Heinego, jest bardzo małej wartości; są to drobnostki właściwie nic nieobjaśniające nowego, conajwięcej potwierdzające tylko charakterystykę jaką dają korespondencye. Ale wcisnęło się i tu parę rysów nie do pogardzenia.

„Muszę, píše Maks, wielu tych co odwiedzali mego brata i z rozmów jego podali rozmaite anegdoty, opinie, spostrzeżenia, sądy, w rzeczach polityki, religii, literatury — rozczarować nieprzyjemnie: Henryk po swojemu z nich sobie żartował. Bardzo często gość dzisiejszy, posłyszał od niego w rozmowie zupełnie przeciwne zdania tym które wczorajszemu gościowi wynurzył, a obaj zapisali je jaknajwierniej w swoich dziennikach. Mogę najsumienniejsz zaręczyć, że niejedyn z tych turystów był jeszcze na wschodach, gdy Henryk, śmiejąc się sarkastycznie i zacięrając ręce, wołał: „Temu jegomości dałem wybory materyał do jego korespondencyi!“

Jak to maluje człowieka!

Heine jako pisarz, myśliciel, poeta, jako człowiek przekonani politycznych mało się tu maluje; prywatne zato stosunki aż do zbytku troskliwie objaśnione. Usprawiedliwia naturalnie brat i rozrzutność Heinego jego geniuszem, a potrosze nieopatrznością zancnej ale niepraktycznej żony, nieporozumienie zaś z Salomonem wpływem nieprzyjaznych mu członków rodziny; naostatek zarzucaną poecie obojętność dla żony wykazuje jako potwarz. Ostatnie tylko jest wistocie udowodnione. Heine nigdy dowcipu wyrzec się nie mógł, dlatego w listach do przyjaciół czasem z własnego przywiązania do Matyldy żartował sobie cynicznie. Przypominamy jeden, podobno do Immermanna pisany, w którym powiada że się

cieszy iż żona chora nie umarła, bo byłby zmuszony pisać na zgon jej elegie, do których nie czuł się nigdy usposobionym. Oburza ten cynizm, ale znając Heinego, poznać łatwo że nie wyraża istotnego uczucia, tylko jest przechwałką umyślną i popisem docwipia. Na łożu choroby nazywał ją w lepszych chwilach aniołem i dał dowód w testamentie czulej troskliwości o jej przyszłość. Ale jak ze stryja, jak z braci, tak i z tej nieszczęśliwej Matyldy żartować sobie musiał: było to w jego naturze.

Książka Maksa mogłaby nam dostarczyć więcej szczegółów, ale się lekamy naszych czytelników, mało znających Heinego, znużyć ich obfitością. Heine, mimo tłumaczy, jest jednym z tych pisarzy, co tłumaczonymi nie będą nigdy. Urok formy dziwnie pięknej cały prawie ginie w przekładzie, a przez równopiękne kształty oddanym być nie może. Znany tłumaczenia dokonane z talentem, ze staraniem największym, z natchnieniem które dało uwielbienie dla pisarza... przecież i te jak są blade w obec oryginału!

Z historii Salomona Heine i charakterystyki przyjaciół jego w Berlinie, damy później może wyjątki.

Słów kilka o repertoarze.

Literatura sceniczna jest żyjącą księgą, która się rusza i dotyka prawie naszej wyobraźni. Z tej księgi w przeciągu godzin kilku tysięcy osób razem czyta i unoszą w sercu gorące jej litery, wlewa je z powrotem do domu w serca innych tysięcy.

Wład Wężyk

Poruszoną została w Tygodniku Ilustrowanym rzecz o repertoarze na prowincyi. Starano się wykazać że repertoar bywa staranny, obfity w nowości a wykluczający stanowczo drobiazgi, że w następstwie tego artyści mają pole kształcenia się, kształcą się istotnie i powstają, wcale nie jednoco między ślepymi, ale istotni artyści godni sumiennej krytyki. Prawda, że tam sceny są dwa razy tyle, co scena teatryku Rozmaitości, ale szczupłość sceny nie powinna wywierać wpływu na szczupłość rozmiaru sztuk w repertoarze (*). O potrzebie przeobrażenia repertoaru w ogóle, rozpisywałem się nieraz, grupowałem nawet dzieła sceniczne, które powinny wchodzić w skład oryginalnego repertoaru (*Nowiny* 1854. Nr. 155—6, 1855. Nr. 40—43, *Kółko Rodzinne* r. 1860, Nr. 28—34, *Kalendarz Ungra*, 1863 i t. d.) Teraz więc, dalej wiodąc rozpoczętą rzecz o repertoarze, zwrócę uwagę na tutejszy.

Krytyka teatralna u nas pomija przedmiot ten w milczeniu, a przecież dobór sztuk scenicznych, to podstawa rozwinięcia talentów i wartości widowisk. Krytyka tutejsza w ogóle ogranicza się na tém, że jest sprawozdawczą; wypowiada według odniesionego wrażenia ogólnikowe zdania o grze artystów, ogranicza się na rozważkowaniu treści pojedynczej sztuki, o której zwykle pisać nie warto, ale nie sięga głębiej, nie porównywa, nie sumuje, nie wyprowadza wniosków. Jeszcze jeżeli się pojawi artysta jaki zagraniczny, mamy coś w rodzaju krytyki, jak np. studia o pani Ristori, mamy je atoli dlatego, że krytyk francuzki dostarcza obficie materiału do zaczerpania frazesów dosłownie z niego i pełną garścią. Jeden Meciszewski w swoich „Uwagach o teatrze krakowskim“ był na właściwej drodze, był samodzielnym, nie przerabiaczem cudzych świecideł, dlatego z niego snadno dowiadujemy się o zaletach i wadach dzisiejszych pierwszych artystów warszawskich.

Brał on całą seryą widowisk, a nie zabawiał się fraszkami pojedynczemi, porównywał grę artysty w rozmaitych rolach, bez ogródki wytykając wady i zalety, a zawsze motywując twierdzenia swoje. Co więcej, brał on na uwagę wystawę, maszyneryę, kostiumowanie i t. p. z całego peryodu, słowem: studiował rozwój sceny we wszystkich jej kierunkach, ale nie wdawał się we frazesa ogólnikowe o pierwszym lepszym widowisku.

Na tej drodze po Meciszewskim nic dotąd u nas nie zrobiono; piękne słówka o jedynym sztuce, pisane nieraz na raz do dwóch i trzech pism jednémże nieobeszniętym piórem, będą tém, czém chcą pozostać, to

(*) Scena lwowska jest większą, aniżeli scena teatru Wielkiego, krakowska znacznie jest większą od teatru Rozmaitości.

jest: sprawozdaniem ale nie krytyką, niczego też nie nauczą. Co najwięcej, taka krytyka jest polem stereotypowego wypowiedzenia komplementów dla tego i owego artysty przyjaciela, uwielbiania jednostajnego prozą dytymbową artystki, której ganić nie wypada, i uprzedzenia z góry o nieudolności artystów gościnnie wystąpić mających, zwłaszcza, jeżeli ci mogą zaćmić nadsztukowane wielkości miejscowe.

Koteryjności prawdziwa krytyka nie znosi, gadulstwo wprawnym piórem nie zastąpi poglądów na grę i sztukę; poglądów, jakich wzory mamy wyborne w dziełach *Freitaga*, *Rötschera* i innych niemieckich estetyków i krytyków scenicznych. Na tej drodze możnaby scenie warszawskiej niemałe oddać przysługi. Biorąc całą seryą widowisk kilkumiesięcznych, możnaby wykazać dodatnie i ujemne strony gry i wystawy. Studya takie byłyby pożyteczną wskazówką dla artystów i zwróciłyby zarazem dyrekcji teatru uwagę na niejedyn szczegół, przez co ułatwiłyby mozolne zadanie kierowania systematycznego a pożytecznego sceną.

Nowa dyrekcja teatru i nowa reżyserja, gorliwie zakrzętała się obecnie około podniesienia sceny miejscowej, w celu aby podążać mogła za postępami scen zagranicznych i aby tym sposobem podnieść dochód teatralny, który szczególnie w miesiącach letnich jest nieodpowiadający. Byłby zaś odpowiednim pomimo pory nieprzyjaznej, gdyby repertoar był dostatecznie zażywny i budzący silne zainteresowanie się w publiczności.

Repertoar nowy i obfity, to *nervus rerum* teatru, to Kalifornia kasy teatralnej, to szereg laurowych wieńców dla prawdziwego artysty.

Scena warszawska ma za sobą przeszłość więcej niżeli stuletnią, a to już samo dostatecznym jest do nagromadzenia bogactw repertoaru. Tak atoli nie stało się, tradycya nie prawie nie przekazała; repertoar jest ubogim, biblioteka teatralna pustkowiem.

Zadałem sobie pracę i ułożyłem spisy utworów scenicznych grywanych w teatrze Rozmaitości i Wielkim od r. 1837 po dzień dzisiejszy. Ze spisów tych osiągnąłem wiadomość, iż rocznie przecięciowo wystawiano 15 nowych sztuk, a to przeważnie fraszek jednoaktowych, gdy dramatów pospolicie dwa do trzech.

Pomijając opery i oczywiście balety, podaje liczby te nowogranych sztuk, jak idą od r. 1837 do 1867 r. Otóż w każdym z tych lat kolejnych grano sztuk nowych: 20, 16, 11, 18, 21, 22, 17, 26, 24, 15, 22, 20, 15, 19, 18, 22, 19, 21, 13, 13, 11, 12, 19, 14, 2, 8, 4, 7, 13, 16, 21.—Co do lat 1860 do 1862 nie jestem cyfr moich pewny, bo ówczesny Kurjer milczał o teatrze.

Razem biorąc w ciągu lat 31 dano w teatrze Rozmaitości i Wielkim około 420 komedij nowych, a około 80 dramatów. Z pomiędzy komedij liczba jedno lub dwuaktowych tak jest mnoga, (szczególniej powtarzanych), iż nie przesadzę gdy powiem iż ogarnia trzy czwarte a może i więcej ogólnej cyfry, licząc w to i powtarzania (*). Cyfra nowych dzieł w ogóle bardzo jest szczupła, jeżeli przypominmy sobie, że gdzieindziej na tysiąc widowisk dano sztuk nowych mniej więcej trzysta, to jest przynajmniej jedną czwartą liczby przedstawień.

W owym okresie lat trzydziestu, napotykam niektóre lata względnej pomyślności. Pomijam tę okoliczność, iż w r. 1846 grywano Bogusławskiego Krakowiaków i górali, a zwracam uwagę iż w r. 1844 na 26 nowych sztuk dano aż 6 dramatów i wznowiono sceny z tragedji *Cyd* i *Fedra*. W r. 1845, również na 24 sztuk nowych, dano 6 dramatów. W r. 1837 na 20 nowych sztuk osiem dramatów. Były to lata najpomyślniejsze dla repertoaru i aktorów, w których ci ostatni mieli jaką taką sposobność rozwinięcia zasobów swoich dramatycznych.

Teatr Wielki przedstawiał dramata i melodramy, a w Rozmaitościach dawano komedye. Łącznie, nie-

(*) W roku otwarcia teatru Rozmaitości, t. j. r. 1829, dano 60 widowisk, w których wystawiono 84 komedye o 1-ym akcie i 65 krotki, z tych 2 oryginalne a 9 nowych tłumaczonych. W r. 1839 na 16 nowych; była 1 sztuka o 5-ciu aktach raz grana (Ludwika de Lignerolles), trzy o pięciu aktach granych sześć razy, pięć dwuaktowych granych 28 razy, a sieltem jednoaktowych granych 70 razy. Stosunek więc jedno i dwuaktowych do więcej aktowych wypadł jak jeden do dziewięciu. Skromnie przeto podalem, że tylko trzy czwarte części ogarniają jednoaktówki.

raz do 300 rocznie reprezentancji wypadło na widowiska polskie. Czyni to na lat 30 dziewięć do dziesięciu tysięcy widowisk.

Wątpię jednak, azali biblioteka teatralna, z epoki całego stulecia istnienia teatru, zdobyłaby się na zasób 10,000 odegranych utworów. Na taką liczbę widowisk, mamy 500 niemal nowości, to jest co dwudzieste widowisko daje nową sztukę, który to obrachunek zgadza się zupełnie z przeciętną cyfrą 15-tu sztuk na rok. Co więcej, nowa sztuka pospolicie bywa jakąś drobnostką; ubóstwo zatem jest bijące w oczy, skoro gdzieindziej przy mniejszych zasobach, mamy nową sztukę co piąte lub szóste widowisko, a to przeważnie sztuki większe.

Aby zapełnić 250 do 300 rocznie widowisk, potrzeba 500 do 600 utworów scenicznych, z powodu że przeważnie każde widowisko składa się z dwóch lub trzech tłumaczonych sztuczek. Ztąd wynika, że zachodzi potrzeba ciągłego powtarzania jednych i tychże samych utworów, a to nie wyborowych osnową, ale takich, w których pewni ulubieńcy publicy, mianowicie komicy, lub aktorki rezolutne, mają swoje wydatne, popisowe role.

Ztąd do niektórych sztuki, jak *Zachód słońca*, *Pokoik Zuzi*, nawet *Indyana* i *Charlemagne* i t. p. wynurzają się ciągle jak grzyby po deszczu, będąc niemiernielne, jak są niemiernielnymi członkowie akademii francuzkiej. W następstwie tego nie dziwić się, że grano po sto i po więcej razy farsy: *Antoni i Antosia*, *Nowy rok*, *Kto wie na co się to przyda* i t. p. Nie wartość ich jest przyczyną tego, ale dogodność dla aktorów, którzy rolę swą umieją tak, iżby ją przez sen mogli wypowiedzieć, dogodność dla reżyserji, która ulżywa sobie trudu kłopotania się o świeżość widowiska, dogodność dla maszynisty, który raz na zawsze mając przygotowane przyrządy, wypoczywa, dogodność wreszcie dla rekwizytora, który na pamięć przewidzieć może na cały tydzień potrzebne rekwizyty.

System ten jest niewątpliwie pożądany dla aktorów takich, którym nie idzie o ciągle dobijanie się sławy, lecz nie jest pożądany dla artystów jakich scena tutejsza ma liczbę niemałą, ani dla światłej dyrekcji teatru, której idzie o godność sztuki i wzniesienie sceny do wysokości wymagań smaku drugiej połowy XIX stulecia. Z jednostajności powtarzań znanych sztuczek, wyrabia się w publiczności zubożenie względem teatru, a dla aktorów zubożenie względem publicy; słowem na scenę występuje rzemiosłowość, rutynizm, mechanizm. Wówczas, gdy prawdziwy mechanizm, to jest działalność maszynisty i kostiumiera, nie ma prawie żadnego pola popisu i pracy.

Korzystniej na tém wyszłaby dyrekcja teatru, gdyby zechciała stanowczo przeprowadzić radykalną reformę w repertoarze. Wszystko to co stare lub niestosowne, wyrzucić bez względu czy w tej lub owej roli gra ulubionych komików budzi oklaski lub nie, a wprowadzić na scenę sztuki takie, nad którymi aktorowie istotnie musieliby dokonywać studya.

Jestem stanowczo przeciw powodzi sztuk jednoaktowych. One mogą być tylko dodatkiem do widowiska, ale nie onego ciałem. W zwyczaj weszło dawanie po trzy komedye jednoaktowe naraz, gdy jednoaktówka powinna się pojawiać się tylko jako przyczepka do komedji lub dramy kilkoaktowej. Przez takie niestaranne układanie repertoaru, straciłszy z oczu i dramat, i tak potrzebną dla klasy średniej i niższej wystawową a moralizującą melodramę.

Zkąd to poszło, łatwo wytłumaczyć. Wypadnie mi czepiać się tu osób, ale nie osobistości. Znam dobre chęci dyrekcji teatru, dlatego poważę się z dobrą wolą podać wskazówki.

(Dokończenie nastąpi).

SILNI I SŁABI.

Wzorki w wolnych chwilach wycinane.

(Dalszy ciąg.)

II.

Tegoż samego dnia i o téjże godzinie, w której pan Jan składał wizytę państwu Strzemskim, siedział kółko domowe w małym saloniku przy ulicy Chmielnej. Umeblowanie świadczyło o pewnej za-

PO ZNIWACH.

Szkic humorystyczny Ksawerego Pillatego.

możności; w fotelach pokrytych aksamitem utrechtским siedziała gromadka przy mahoniowym stole, a duża lampa, unoszona przez jakieś nimfy brązowe, rozlewała łagodnie, lecz mocne światło. Na kanapie siedziała pani domu, robiąc coś na drutach; obok niej dwoje dzieci z niezmiernie poważną miną ustawiło na stole figurki wycięte z papierów; dalej dorosła panna, córka domu, spuszczała oczy na jakąś koronkę czy szlaczek, ale robocie mocno przeszkadzał obok siedzący młodzieniec świetnej powierzchowności; dalej był drugi jeszcze młodzieniec, nieco mniej świetny, a pierścień ten z ludzi, okalający stół, kończył się, niby topazem, panem domu, złotym i suchym jak liść jesienny.

— Otóż widzisz kochanko, rzekł *pater familias*, Hanemann powiada, że trzeba codzień dawać lekarstwo, aż do zupełnego powrotu zdrowia.

— Ale Zosia już zdrowa, upewniam cię mój mężu, rzekła pani domu, chuda, mizerna, prawie przezroczyta.

— Mylisz się, mój aniele, ona blada, a kto blady, ten niezdrow, kto zaś niezdrow, ten powinien się leczyć, bo inaczej choroba się rozwinie tak, że jej zwalczyć nie będzie można. I ty także widać że nie bierzesz pigułek które ci przyniosłem. To biada że trzeba was pilnować jak dzieci, w usta wam kłaść każdą pigułkę; nie rozumiacie że to chodzi o wasze zdrowie, wasze życie! Wszak prawda, panie Józefie, trzeba się leczyć, kto chce utrzymać swoje zdrowie?

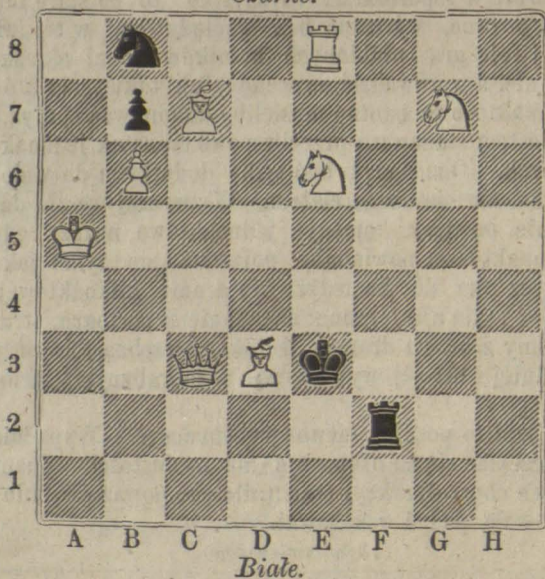
— Trudno mi o tём sądzić, kochany wuju, odrzekł pan Józef, młodzieniec barczysty, siedzący obok zatroszonego rodzica, bo nie zdarzyło mi się nigdy używać kuracyi.

Szachy.

ZADANIE XXVI.

Białe zaczynają i zmuszają czarne do dania sobie (białym) mata za 6-ém posunięciem.

Czarne.



Białe.

Rozwiązanie zadania szachowego Nr. 25.

Białe.

Czarne.

- | | |
|--------------------------|-----------------|
| 1) G4—G7 | 1) F5—G7 biorą. |
| 2) G8—E7 + | 2) D7—E7 biorą. |
| 3) E2—D1 | 3) Jakkolwiek. |
| 1) F5—D4 | |
| 2) C3—D4 biorą | 2) D7—G7 biorą. |
- i jak wyżej.



Olo Boga! A dyć pan taki wiotki, kieby garść.

— Nigdy? i żyjesz dotychczas! wykrzyknął pan radzca Machowski w naiwnym podziwieniu.

— Jak wujaszek widzi, zapewnił Józef z uśmiechem.

— Przecie i ja nie choruję, odezwała się pani domu. Są ludzie rumiani, są i bledzi, ale to nie ma nic do zdrowia.

— Przez Bóg żywy! nie mów tak, moja duszo, w zgubnym jesteś zaślepieniu. Powinnaś się leczyć, ale mnie nie chcesz słuchać. Siebie i Zosię i całą rodzinę gubisz takim uporem.

gorliwy stróż zdrowia domowego leczył się bezustannie; oczy miał zasłonięte konserwami, za uchem plaster ogromny, nogi poobwijane w papier Wlinsi od reumatyzmu, a piersi w flanelę od przeziębienia. Wprawdzie cherlał nieco, mawiał jednak że gdyby nie lekarstwa, dawnoby już był w grobie.

Spór o Zosię, ustawiającą spokojnie figurki papierowe, toczył się jeszcze długo. Pan radzca, mimo złego stanu zdrowia, miał uporczywą wolę i nie przystawał na lada wymówkę.

Tymczasem, pod zasłoną tej utarczki partyzackiej, pan Tomasz, młodzieniec przyzwoitej powierzchowności, prowadził tyralerski bój z panną Różą. Więcej tam było spojrzeń niż słów, więcej domyslności niż wymowy. W przerwach panna Róża zwracała się do siedzącego obok młodszego rodzeństwa, a pan Tomasz do swego milczącego towarzysza, pana Józefa. Czasami brał do ręki Kuryera leżącego na stole, zawiązywał rozmowę ogólną za pomocą jakiejś wiadomości, a gdy pobudził gwar, wracał znowu do cichych szeptów z nadobną swoją sąsiadką.

Panna Róża podobna była do róży, ale polnej: więcej było w niej wdzięku niż blasku. Delikatna, jasna blondynka, z lekkim rumieńcem na pięknie owalnej twarzy, miała w istocie pewne podobieństwo do tego kwiatu. W kłękitych jej oczach malowała się łagodność, połączona z jakimś wyrazem dziecięcym, a przecie panna Róża miała już lat dwadzieścia jeden.

Pan Tomasz, od trzech lat kancelista pod opiekuneczmi skrzydłami pana radzcy, a od dwóch zdeklarowany konkurent do pięknej Róży, był, jakto już powiedzieliśmy, młodzieńcem świetnej powierzchowności. Rosły jak sosna, przystojny, starannie miał wygładzoną czuprynę, przymusnięty wąsik wy-

ciągnięty w szpilkę, i brylantowy guziczek w krawacie bardzo sztucznej struktury. Nie mając możności urządzenia domu i poprowadzenia lubej do ołtarza, czekał na awans, czy na zmiłowanie Boże, a tymczasem codzień ośm godzin z rzędu patrzył w oczy swojej lubej (co, według obrachunku jego towarzysza, pana Józefa, przez dwa lata wynosiło 5840 godzin), resztę dnia poświęcając pracy biurowej, kręceniu papierosów i gawędce z kolegami. Wesół był zawsze, a troszczył się tylko wtenczas, gdy mu brakło pieniędzy, co zresztą dość często się zdarzało.

— 50,000 rubli główna wygrana, rzekł patrząc na tabelę dołączoną do Kuryera. Za kilka miesięcy ciągnięcie ostatniej loteryi. Wygrywam wielki los i kupuję dobra.

Był to ulubiony temat marzeń i rozmów pana Tomasza.

Towarzysz jego, pan Józef, zwróciwszy nieco głowę, zmierzyl okiem dziarską postawę i czerstwą, młodzieńczą twarz aspiranta do głównej wygranej, i zapytał:

— Z jakiegoż to tytułu należy ci się od fortuny emerytura?

— Ba, ty zawsze filozofujesz, odpowiedział Tomasz; ale to jest doskonały interes wygrać na loteryi i nie wątpię że sambyś był rad, gdyby na ciebie spadła taka upragniona niespodzianka.

— Nie trzymam na loteryi. Zresztą zupełnie to inna rzecz chętnie przyjmować dary losu i używać ich jako zwiększenia swojej działalności materyalnej, a inna robić od nich swoją przyszłość zawisłą, rzekł młodzieniec mniej świetnej powierzchowności.

— Tego nie czynię; zarzut niesprawiedliwy.

— Ciągłe się jednak pieścisz tём miłém marzeniem, a szczęście ludzkie nie w marzeniu, ale w urzeczywistnieniu zdrowych pomysłów, w życiu woli, rozumu i serca. Bogactwo o tyle szczęścia przynosi, o ile daje szersze pole do rozwijania czynności naszego rozumu, serca i woli. Ażeby więc twoje pre-

(Ob. dodatek.)

Rebus.



Znaczenie rebusa umieszczonego w Nrze 33.

Komu na karku siedzi kopa lat,
O pacierzu niech myśli, nie patrzy na świat.
(Dodatek.)

tensye do tego przestronniejszego zawodu były słuszne, trzeba żebyś dotychczasowy zakres swych czynności wypełnił całkowicie, a zatem nie marzył, lecz działał. Jesteś w sprzeczności sam z sobą.

— Eh, bo zawsze moralizujesz. Mnie nie chodzi o morały, ale o pieniądze. Myślę że i tobie w gruncie rzeczy tego samego potrzeba, rzekł młodzieniec z brylantowym guziczkiem i szpilkowatymi wąsami.

— Życzę ci wielkiego losu. Co do mnie, choć nie gardzę darami fortuny, niczego bardziej nie pragnę, jak własną energią i pracą dojść do majątku.

— Ho, ho! zawołał radzca, ty właśnie pełen jesteś próżnych marzeń, mój Józeffe. Tak się to mówi, własną pracą dojść do majątku; a dużo też takich widziałeś? Ja pracuję lat trzydzieści z okładem, i cóż mam? Bardzo to rzadka rzecz dorobić się o własnych siłach. Może to bywa w książkach które czytujesz, ale nie na świecie.

— I wygrana na loteryi należy do bardzo rzadkich rzeczy. Zresztą praca uszlachetnia i lepiej nam służyć jęj zdobycze, niż podarki losu.

— No, spodziewamy się, rzekł radzca szydlerczo, że rychło dasz nam przykład podobnej przedsiębiorczości. Zobaczę ja jak z piasku bicz ukręcisz. Dotąd opychałeś się wprawdzie tą książkową mądrością, ale rezultatów nie widać.

Lekki rumieniec wystąpił na twarz pana Józefa...

— Prawda, rzekł, bywają w życiu człowieka przewroty, pozbawiające go nagle podstawy na której się opierał, lub stawiające go na wyższym stanowisku. Pierwszy przypadek daleko częściej niż drugi się zdarza; i mnie się przytrafił, ale to mnie wcale do rozpaczki nie przywodzi, ani nie przejmuję chętką wyjścia z kłopotu za pomocą loteryi.

Objasnić winniśmy że pan Józef, daleki kuzyn państwa radzcostwa, w skutek różnych okoliczności stracił miejsce zajmowane na prowincyi, a teraz, przybywszy do Warszawy, pozostawał chwilowo bez zatrudnienia i, rozumie się, bez dochodu.

Pani radczyni, dzieląc przeważną u kobiet wiarę w loteryę, trzymała sama jedną ćwiartkę; we własnej więc obronie i zarazem w obronie przyszłego zięcia, uważała za stosowne odezwać się.

— Śpiesz się, kuzynku, urzeczywistnić tę piękne zamiary, zdobądź za pomocą energii choć kamieniczkę małą, a potem nam powiedz dobre kazanie.

— Postaram się to skutecznie w jaknajkrótszym czasie, rzekł Józef z uśmiechem, lekko uchylając głowę; niech tylko kochana wujenka przez ten czas nie zaniedba wygrać na loteryi, żebyśmy oboje mieli czem się pochłubić.

Wujenka westchnęła tylko głęboko; od lat bwiem trzydziestu kilku oczekiwała tęg wygranę—i na próżno!

Róża zdecydowała się stanąć w obronie szlachećnej energii.

— Jednak to pięknie, rzekła, gdy mężczyzna własną siłą potrafi sobie zbudować los na świecie.

— Każdy własną siłą buduje, ale dwiema rękami nie wielkiego zbudować nie można; całe życie trawi się jak w mrowisku gdy tymczasem los jedną chwilą w górę podnosi, odparła matka.

— I głowę zawraca, wtrącił Józef.

— Mnieby nie zawrócił, rzekł Tomasz z pewnością siebie.

— No, wierzę że czujesz się na siłach do działania w wielkim zakresie; nim jednak ten szczęśliwie ci się nadarzy za pośrednictwem kantoru loteryi, staraj się wypełniać swój mały zakres tak, żeby się rozpręzał, szerzył, bo inaczej nie będę wierzył w twoje wielkie powołanie.

— Eh, znowu moralizujesz; nieznośny jesteś. Pieniędzy mi potrzeba i koniec.

— Pieniędzy ci potrzeba — to je weź, weź od losu, ale silną ręką, przemyślnym rozumem, wytrwale pracą. Powiedz mi dlaczego tytu cudzoziemców przybywa tu rok rocznie, jak do błogosławionej ziemi, przybywa bez butów i bez chleba, aby po kilku latach przyjść do zamożności, a po kilkunastu często do wielkiego majątku?

— Cóż mi tu znowu za przykłady stawiasz? Alboż to ja Niemiec? albo Niemcem radzisz mi zostać? A tobym był śmieszny!

Pan Tomasz łamanym językiem zaczął Niemca udawać i, przyznać należy, z prawdziwym talentem.

Obudził powszechną wesołość, zacząwszy od drobnych dzieci, aż do samego pana radzcy.

Radzca rozpoczął długie historyozoficzne badania nad biegiem swojego żywota i bohaterską energią, jaką w najtrudniejszych wydarzeniach okazywał; zkał jasno wynikało, że jeżeli nie został ministrem, to winien temu tylko los uparty, a zatem że cała teoria Józefa czezą była i fałszywą.

Zaraz po wyjściu ze szkół zaczął aplikacją. Przepisywał i przepisywał; mijały lata, a posada nie pojawiała się. Kiedy po sześciu latach nareszcie dosięgnął upragnionego celu życzeń i został kancelistą, miał wielkie szanse rychłego wzniesienia się odpowiednio do swoich zdolności; ale raz ubiegł go chytry towarzysz, drugi raz dotknęła zła wola zwierzchnika, trzeci raz zwinęto posadę na którą oczekiwał i przeniesiono go do innęj władzy, gdzie znów niesprawiedliwie go przy awansie pominięto. Dość że skutkiem zleg woli losu, ledwie kilka stopni zrobił na drabinie, którą całą powinien był przebiec. Energia na nic mu się nie zdała. Wszak ja okazywał także w utrzymywaniu zdrowia swego i całej rodziny; wszyscyby pomarli dawno, gdyby nie jego dzielne zastosowanie mikstur, olejków, maści i t. p. Mimo to w całej familli nikt się nie cieszył okrągłością postaci, owszem, wszyscy byli wątłego zdrowia. I to także było winą losu.

Pan Tomasz, znudzony „morałami“, jak nazywał rozmowy podobnego rodzaju, wziął Kuryerka i zaczął czytać ogłoszenia z tak szczególną intonacją, dodatkami i przekształceniami, iż skromne to pismo anonsów, przemienił w prawdziwie humorystyczne. Nagle p. Tomasz, skończywszy karykaturowanie osoby *mlodęj*, osoby *pryzwoitęj*, osoby *w pewnym wieku* i osoby *wysoko ukształconęj*, zaczął czytać ze szczególną emfazą.

„Potrzebna jest panna do towarzystwa dla osoby poważnej, tudzież do zajęcia się gospodarstwem. Powinna biegle czytać po polsku i po francuzku, grać na fortepianie i znać krawiecczynę. Gdyby ze śpiwem to lepiej, ale niekoniecznie. Zechce się zgłosić jaknajspieszniej do domu pod N. ** przy ulicy Królewskiej, gdzie stróż wskaże.“

Zakończenie tego niedorzecznego ogłoszenia szczególnie uderzyło pana Tomasza; adres bowiem był domu, w którym on sam zajmował szczupłe mieszkanie na trzecim piętrze, wraz z drugim swoim koleżką, a od kilku dni i z panem Józefem, ze wsi przybyłym. Totęz ku czytającemu przechyliły się jednocześnie dwie głowy z prawej i lewej strony, przypuszczając mistyfikację.

Przekonano się jednak iż pan Tomasz nie nie przekreślił; adres był istotnie ten sam.

— A, pięknie! To panowie już na tęg drodze szukacie sobie dożgonnych towarzyszek życia, rzekła radczyni.

— Mnie o to posądzać już zapóźno, rzekł Tomasz, z uśmiechem spoglądając na pannę Różę; ale może pan Józef, obierający we wszytkim niezwykle drogi...

— A ileś pan przymiotów wyliczył! Nie brakuje niczego do doskonałej żony, rzekła Róża.

— Przepraszam panią, czy mógłbym, przebywając w towarzystwie panny Róży, zapomnieć o warunku „piękności“? A tam o tak ważnej rzeczy wcale nie wspomniano.

Róża zarumieniła się.

— Pan jesteś filozofem, rzekła, i zapewne obejść się możesz bez tak ważnej rzeczy, jak piękność kobiety.

— Owszem, z tego tytułu należałaby mi się piękniejsza żona niż komukolwiek bądź; przecież Pan Bóg nie dla głupców piękne kobiety stworzył.

To trochę szorstkie ale silne wyrażenie obudziło nowe żarty, a gdy dwaj młodzi ludzie opuszczali towarzystwo, wiedzione ciekawością kobiety obowiązały ich do zarządzenia śledztwa i wykrycia autorki śmieszego ogłoszenia; oczywiście bowiem musiała to być autorka, nie autor.

III.

W tydzień po owem wieczornem posiedzeniu u państwa radzcostwa, późno w noc, prawdopodobnie także po jakiejś wizycie, zbrali się nasi znajomi młodzi ludzie w swoim szczupłym pokoiku na trze-

ciem piętrze przy ulicy Królewskiej. Pan Józef siedział na łóżku przy dużym stole, podparłszy głowę na rękę; po drugiej stronie, w takiej samej pozycyi, siedział pan Tomasz, a w środku na krześle trzeci towarzysz, aplikant w którémś z biur warszawskich, malowniczą przybrał odpowiednią postawę, zanurzywszy obie ręce w gestęj i długiej czuprynie.

— Ach! nie mam pieneędzy! wykrzyknął Tomasz po chwili ogólnego milczenia.

— Nie mam pieneędzy! jęknął patetycznie i Szopa, tak go bowiem nazywali koledzy.

— Eh, mój kochany, ty nie masz czego jeszcze biadać: jest tytuń, są papirosy, a bilety obiadowe do pierwszego wystarczą; ale ja obiecałem jutro towarzyszyć na koncert moim paniom; sam nawet zaproponowałem. Czy mnie licha skusiło?

— Tak, a moje położenie niby lepsze, rzekł Szopa z ponurą rozpaczą; od trzech dni już nie widziałem moję Beatryczy a wyjść nie mogę bo... bo... O mar-na prozo, jak mnie przesładujesz! bo buty mam dziurawe.

— Muszą być chyba bardzo defektowe, rzekł Tomasz, bo ty na drobnostki nie zważasz.

— Patrz! odpowiedział Szopa i za całą odpowiedź wysunął nogę z obuwiem.

— Weź jutro moje, rzekł Tomasz, ale chodź oszczędniej; bo jak masz całe buty, to latasz po całej Warszawie i w kilka dni podeszwy tracisz.

— Cóż robić? nie mam natchnienia wieczorem, jeżeli w dzień nie chodzę dużo.

— A propos natchnienia, napisz mi wiersz do Róży, rzekł Tomasz.

— Znowu? na jaki temat?

— A oczywiście, chwał jęj wdzięki, opiewaj moję gorącą miłość.

— Dobrze. Albo lepiej wybierz co z gotowych; przecie jest w czem wybierać.

— Dajno mi poszyt, będę czytał nim zasnę.

Szopa był poetą. Talent miał rzeczywisty, ale niestety, na bardzo fałszywej był drodze. Uważając się za jakąś wyjątkową istotę, przybrał najdziwniejsze formy życia, przymuszał się do oryginalności, mającęj w oczach świata i w jego własnych świadczyc o jego naturze poetycznej. Aplikacja była mu tylko pozorem, tytułem do życia w Warszawie, a jeżeli pojawiał się w biurze, to tylko dlatego, aby go nie wykreślono z listy aplikantów, lub dla błysnięcia jakimś dziwactwem. Ubięrał się w fantastyczne jakieś burki, a kapelusze jego raz miał rondo jak patelnię i płaskie denko, to znów zwięzał się i spiczasto w górę wylatywał. Co gorsza, Szopa silił umysł na foliały gorączkowych elukubracyj, a nie pomyślał o tęg ani razu, że chcąc być poetą trzeba się kształcić surowo, wszechstronnie, że przyszy wiesz ludzkości powinien stanąć na szczycie wiedzy którą ta ludzkość zdobyła.

Ten brak dostatecznego materiału sprawił że Szopa, po napisaniu kilku rzeczywiście niezłych wierszyków, wpadł w czece deklamacye i powtarzanie, a wyczerpany w ten sposób umysł, starał się pobudzać gorącemi napojami. Tak szedł po pochyłości tęg niebezpieczniejszję, że nie wiedział wcale na jakiej znajdzie się drodze.

Do koniecznych atrybucyj poety, rozumie się, należało kochać się szalenie.

W kilku kółkach herbacianych, do których go wprowadzono, Szopa nie znalazł sobie ideału, ani tęg długo nie wytrzymywał w tak prozaicznych zebnaniach, gdzie przyjmowano go z początku z szacunkiem dla jego talentu, a następnie bawiono się jego ekscentrycznością. Szopa porzucił więc wszelkie wygładzone towarzystwa, zdziczał jeszcze bardziej, a potrzebując ideału, upatrył sobie na ulicy jakąś pannę i całe dnie przepędzał na ściganiu jęj kroków. Nie szukał bliższję znajomości, zawiązania stosunków; dość mu było że miał Beatryczę, tak bowiem ochrzcił swój ideał.

— A nasz filozof Józef nie wdycha do pieneędzy? rzekł Szopa.

— Owszem, potrzeba mi pieneędzy na opędzenie kosztów początkowej aplikacyi i zakupienie utensyliów niektórych, zapewnił Józef.

— Co, jużes wstąpił na aplikację? tak predko? i nic nam nie mówięs. Gdzie? do jakiego biura? zawołał dwaj kolezkwowie.

Przegląd teatralny.

— Do ciebie na Ogrodowej ulicy, odpowiedział sucho zagadnięty.

Młodzi ludzie spojrzeli po sobie z zadziwieniem.

— No, to oryginalnie.

— To postępowo, rzekł Tomasz z przekąsem.

— I będziesz toporem ociosywał belki?

— I będziesz heblował deski?

— Czemu nie, odparł Józef łagodnie. Wyobraźcie sobie jaka to miła praca być cały dzień w ruchu, pod odkrytym niebem, pracując na pożytek ludziom i sobie. Drzewo, to materiał wdzięczny, do wszystkiego się nadający, wszędzie prawie będący pod ręką. Cieszę się że posiędę umiejętność spożytkowania go w najważniejszym i najobszerniejszym zastosowaniu.

— Poetyzujesz, mój drogi, ty, niby nieprzyjacieli marzeń. Po pierwszych kilku dniach popuchną ci ręce i opadną ramiona zbite od noszonych desek, sprzykrzy ci się praca pod odkrytym niebem, gdy to niebo zacznie zsyłać deszcz, śnieg i ostre wiatry, chłostające twarz i ręce; sprzykrzy ci się jeszcze bardziej nowi twoi koledzy, ludzie grubijańscy, zwierzęta robocze. A wreszcie cóż za przyszłość? Na tożęś tyle się uczył, tyle czytał, żeby siekiarą na chleb zarabiać? Nie, nie wierzę żebyś ten projekt brał na seryo, rzekł Tomasz.

— Najzupełniej na seryo, przekonasz się o tym niebawem, bo jutro przystępuję do roboty. Praca fizyczna mnie nie zraza; tylko zniewieścieli jej się boją. W pierwszych dniach wistocie będzie ciężko, ale jestem silny i prędko się przyzwyczaję. Śniegi, wichry, są to rzeczy nieprzyjemne, ale nie gorsze od stęchłego powietrza kancelaryi i żrącego pyłu starych papierów. Z nowymi moimi kolegami spodziewam się w dobrych zostawać stosunkach, może i podnieść ich moralnie; a co do przyszłości, to praca fizyczna połączona z inteligencją, zawsze dobre daje rezultaty.

— Ależ żadna panna nie będzie cię chciała, rzekł Tomasz. Mić cię kochanka, to *mauvais genre*.

— To nie będę się kochać, odparł obojętnie Józef.

— Jesteś człowiek-ryba, czy człowiek-cieśla, co w rezultacie na jedno wyniesie; a szkoda, bo zdobywszy jaką taką szlachetniejszą pozycją, mógłbyś ożenieniem się zrobić karierę i pozostać przyzwoitym człowiekiem.

Józef uśmiechnął się wzgardliwie i rzekł po chwili milczenia.

— Powiadam wam że te romanse, które widzę wszędzie gdziekolwiek się obróć, tak mi się cklive wydają, iż podobno radykalnie mnie wyleczyły od zapadnięcia w podobne bałamuctwo. Czemże jest ta miłość do której mnie nawrócić chcecie? Przyznam się że wszędzie wkoło siebie widzę galanterię lub szaleństwo, ale miłości nie widzę.

— Więc moją miłość uważasz za galanterię? za pytał Tomasz.

— A moją nazywasz szaleństwem? podchwycił Szopa.

— *Alias* próżniactwem, odrzekł Józef z flegmą.

— Bardzo jesteś zarozumiały. Ciekawym jakbyś ty się kochał. Chyba bez uczucia, podług z góry obmyślanego systematu.

— Ja nie wyłączam uczucia, ale czekam aż na mnie zstąpi. Wasza miłość, zabawka za którą gonicie, ma główne siedlisko w wyobraźni, nie w sercu. Zresztą nie jesteście pod tym względem ani lepsi, ani gorsi od tysiąca innych kochanków.

Długo jeszcze młodzi ludzie toczyli spór o swoje na życie i miłość poglądy, aż wypaliła się do szczytu świeczka łojowa, słabo im przyświecająca. Józef i Tomasz zawinęli się w swoje kołdry, nie wykwiłne, ale czyste; Szopa otulił się w burkę, dawno już bowiem odwykł od zbyt koźniejszej pościeli. Wkrótce cisza i ciemność ogarnęły szczupłą kawalerską stancję.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Teatr Rozmaitości: „Pojęcia pani Aubray“, Komedia w 4-ach aktach Aleksandra Dumasa (syna), z francuskiego tłumaczona.

Francja, która nie sypie na każdym kroku teoryami jak Niemcy, która nie stosuje ich w praktyce życia jak wielko-brytańskie plemię, wydała w tych czasach kilku myślicieli, usiłujących potężnym słowem zatrząść zmurszałymi podstawami budowy społecznej.

Rzucali się oni potrosze na konwencyonalną moralność, a bardziej na prawo obowiązujące.

Wiktor Hugo wydaniem swoich „Nędzników“ pragnął dowieść, że wyobrażenia nasze o cnotie i występku niezawsze bywają zgodne z prawami odwiecznymi, że są ludzie których kodeks dotyka, a Bóg usprawiedliwi może; zapragnął on pierwszym swoim słowem upomnieć się za pokrzywdzonymi...

Ale nawet poeta tej siły co Wiktor Hugo przerażony był w zamachu. Zagłuszyła go gromki głos jego ludzkość w innym prąca się kierunku; nie takich usiłowań tu trzeba, tu nie takie ciosy starczą...

Dzisiaj powstaje nowy zapaśnik, i jakkolwiek niższy o głowę od pustelnika z Jersey, wskazuje pole na którym połączywszy usiłowania, możnaby łatwiej choć stopniowo celu osiągnąć.

„Teatr, mówi młodszy Dumas, działa przeważnie na tłumy, teatr jest kazalnica dla wszystkich dostępna, teatr jest dźwignią społeczną, która marnieje w nieudolnych rękach.

Zbierzmy razem wszystkie siły i uderzmy w tę stronę, a może wywołamy echo.“

Oto główny punkt wyjścia, oto powód zapowiedzianej tak głośno przez Dumasa reformy teatralnej, do której komedią swoją p. t. „Pojęcia pani Aubray“ zapragnął pierwsze podłożyć podstawy. Czy skutek odpowie usiłowaniu — czas wskaże.

Uwagę Dumasa zwróciła coraz większa ilość nieprawych dzieci pojawiających się we Francji, oraz anormalny stosunek kobiet do mężczyzn i nawzajem.

Już w powieści swojej „Sprawa Clemenceau“, dotykał on tej kwestyi, chociaż z odmiennego stanowiska. Talentowi pisarza trudno było zaprzeczyć, ale zdania wyrażone w powieści wydały się zbyt śmiało; krzyknięto na niemoralność, obrzucono autora zarzutami.

Nie ustał on jednak na swojej drodze, ani cofnął się, tylko przeszedł na inne, skuteczniejsze pole.

W „Pojęciach pani Aubray“ Dumas przedstawia młodą uwiedzioną dziewczynę. Bierze fakt najzwyczajniejszy, pozbawiając go wszelkich czynników następczych pole do deklamacyi.

Niema tam ani namiętności, ani wyjątkowego położenia, ani szczególnych przymiotów uwodziciela, ani górującego nad wszystkiemi uczucia, ani konieczności fatalistycznej; jest to jedynie, co się wszędzie i zawsze zdarza: nędza materialna i nierozwinięte wyobrażenia o moralności.

Uzbrojony temi najogólniejszymi czynnikami, Dumas wyprowadza do walki swoją Janinę, takie bowiem jest imię uwiedzonej dziewczyny.

Inna kobieta gra także w tej sztuce ważną, najważniejszą rolę.

Tą kobietą jest pani Aubray, który to charakter Dumas nakreślił i wprowadził w życie według wyobrażeń swoich o moralności, jaka by powinna być przeważać na szali społecznej.

Pani Aubray jest nieprzyjaciółką konwencyonalności, pod jakimbyś ona okazuje się pozorem, widzi wady w ustroju społecznym i pragnęłaby wpłynąć na poprawienie ich za pomocą dobrze zastosowanego w praktyce Chrystusowego słowa.

Główną ideą pani Aubray, na tle której wszystkie inne się rozwijają, jest miłosierdzie ducha. Tę miłosierdziem wiedziona, a czując się sama silną dobrem pojęciem cnoty i przyswojeniem jej sobie, broni ona upadłych i pokrzywdzonych. Jest to jałmużna chrześcijańska, w najzupełniejszym znaczeniu tego wyrazu, miłość bliźniego do ostatecznych posunięta krańców. Pani Aubray działa słowem

i przykładem, gotowa teorie swoje bezzwłocznie przy sposobności w czyn wprowadzić.

Naturalnie w krąg promienia tej wybranej kobiety, wchodzi satelici, których przyswoić sobie umiała, a najgorętszym poplecznikiem, najsilniejszym wcieleniem jej myśli jest własny jej syn Kamil, który widząc w matce możliwą doskonałość ludzką i raz pchnięty na tę drogę, idzie po nią śmiało, bez wahania się, z celem jasno wytkniętym, gotów dla tego celu wszystko poświęcić.

Tak przygotowawszy środki, Dumas na drodze pani Aubray stawia Janinę. Te dwie kobiety, stojące na dwóch przeciwległych krańcach, stykają się ze sobą. Cnotliwa matrona podaje rękę upadłej dziewczynie, wskazuje jej pracę jako cel, moralność ludzką jako dźwignię, przyswaja ją sobie, podnosi, uczania.

Ale pozostaje błąd społeczny do naprawy, istota upadła do podźwignięcia, krzywda do wynagrodzenia. Społeczeństwo które skrzywdziło Janinę, winno jej zadośćuczynienie. Trzeba ją wydać za żonę, trzeba wynaleźć jej położenie towarzyskie, dać opiekuna matce, ojca dziecku.

W tej chwili właśnie, nawrócony teoryami wymownie przez Kamila popieranemi, zjawia się Valmoreau, były *lew* albo raczej *zdechłak*, bo tak ich teraz nazywają. Valmoreau pragnie porzucić bezcelowe i poniżające życie, a przejść na drogę tak promienne mu przez młodego prozelitę pojęć pani Aubray wytkniętą.

Więc moralistka myląc się na uczuciu, które widzieć mniema tak w nawracającym się grzeszniku, jak i w protegowanej pokutnicy, proponuje p. Valmoreau Janinę za żonę, nie tając przed nim zarazem rzeczywistego jej położenia.

Ale tutaj słyszymy zdanie, na którym łamią się zwykle w praktyce usiłowania tego rodzaju, tak piękne i zbawienne w teorii.

— Niechaj inny, woła Valmoreau, bierze na siebie ten ciężar odkupiciela nie swoich grzechów. Dla czegoż mnie pani na to wybiérasz? Wolę to chwalić, uwielbiać nawet w innym, ale mnie wydaje się to zaciężkie.

Te słowa mają znaleźć silniejsze jeszcze poparcie w przykładzie samej pani Aubray, która jest tu główną sprężyną działania. Bo nie Valmoreau, ale Kamil kocha się w Janinie, bo w wyznaniu jakie ta ostatnia uczyniła pani Aubray, imię syna jej dobrodziejki zatrzymało się na ustach, sama bowiem pojmuje trudność, niepodobieństwo prawie takiego związku.

Kiedy Kamil, pod wpływem silnego uczucia, a ufnym w teorie które od dzieciństwa stały się jedyną jego wskazówką, wyznaje matce miłość swoją dla Janiny i prosi o zezwolenie na ten związek, wydający się mu najnaturalniejszym wedle Boga i moralności, — z piersi pani Aubray wydziéra się okrzyk:

— Ale ja nie myślałam że tu o ciebie idzie!

Tutaj wyraża się odwieczna prawda ludzka, tutaj wyjaśnia się powód, dla którego teorie przez Dumasa i wielu innych głoszone, tak trudne będą do wprowadzenia w czyn....

Scena to najprawdziwsza może z całej sztuki, i pomimo ostatecznego przyzwolenia pani Aubray, wywołanego zaparciem się siebie Janiny i boleścią Kamila, który nie śmie matce robić wyrzutów, ale mimowolnie prawie stawia jej przed oczy sprzeczność jaka istnieje pomiędzy teoryami przez nią objawianymi, a własnym jej postępowaniem, — pomimo mówię tego wszystkiego, wrazenie tej przeważnej sceny pozostaje niezatartem.

Bo chętnie rozwijamy wniosłe pojęcia cnoty, moralności, poświęcenia; ale kiedy, wzywając trywialnego ale dobitnego wyrażenia, o własną naszą skórę idzie, namysł przychodzi w porę i odstrasza nas to samo, co dla innych nam łatwem się wydawało.

Więc sztuka Dumasa, pomimo głębokości pomysłu, wzorowego stylu, wybornego uscenowania i świetnych przymiotów, cechujących tego niezaprzeczonego znakomitego dramatopisarza, niewiele jeszcze dowodzi. Wskazuje nam ona wyjątkowe położenie i wyjątkowych ludzi. Myśl zasadnicza przeprowadza się gwałtem prawie, a gwałt w rzeczach ludzkich nigdy wiele nie zbuduje, i ma słuszność Barantin, jeden jeszcze z nawróceńców pani Aubray, rozłącz-

ny z żoną i pomimo upomnień przyjaciółki niemogący się z nią pogodzić, kiedy streszcza rzecz całą, w tym mniej więcej fraziesie:

— Wszystko to pięknie, ale w każdym razie twarde orzech do zgrzyzenia (C'est raide).

Dumas w tém głównie odbiegać zamierza od dawnej szkoły, że nietylko wykazuje zbrocenia, ale usiłuje podać środki na zaradzenie im. Komedia jego wiele daje do myślenia; każdy człowiek niepowierzchnie biorący rzeczy, wychodzi z niej zadumany, rozmarzony trochę i pochopny do zajrzenia we własne sumienie, do zbadania swój przeszłości na której ciąży może niejedno zbrocenie, które już się zdawało dawno zatartem, do poważnego rozpatrzenia się w świecie i ludziach, a głównie w sobie samym. Zawsze to zasługa i zasługa nielada...

Główną zasługę i ozdobę tej sztuki, która pomimo małej liczby publiczności, zbierającej się obecnie z powodu upałów zwrotnikowych do sali teatralnej, długotrwałe zapowiada powodzenie, główną powtarzamy zasługę stanowi wzorowa gra pani Palińskiej.

Ważną jest rola Janiny podjęta przez artystkę, chociaż autor bardziej jeszcze może ukochał i silniej skarbnymi błyskotliwej swojej dyalektyki opromienił rolę pani Aubray. Ciągłe jednak moralizowanie na scenie, które stanowi główną cechę tego ostatniego charakteru, potrzebuje wielkiej różnorodności gry, by ustrzedz się jednostajności i kazalnego nastroju, a ta rola nie przypadła widocznie do usposobienia pani Niewiarowskiej, tém bardziej że przywykliśmy wiele żądać od tej tak korzystnie wyrobionej artystki która na scenie naszej nie małe już zasługi położyła.

Pan Świeszewski w roli wietrznika Valmoreau umiał grą swoją ożywić przydługie nawet sceny i usprawiedliwić zbyt nagle może nawrócenie swoje pod wpływem kazania przez Kamila mu wypalonego. Pan Świeszewski posiada dar wlewania życia w postaci które przedstawia, a czyni to z tak naturalną dystynkcyą i werwą niewymuszoną, że zdaje się iż każda z ról granych przez niego utrafiła mu w prawdziwe cetno charakteru. A jednak to nie role do artysty, ale artysta do ról się nagina.

Pan Stolpe postać Barantina odwzorował jako wytrawny artysta, umiejący z drobnych szczegółów korzyść dla siebie wyciągnąć. Twierdzić nawet można po tém przedstawieniu że role tego rodzaju zgadzają się z usposobieniem pana Stolpego i że nie małe może oddać w nich scenie przysługi.

Zbyt szybka czasem dykcya pana Tatarkiewicza (Kamil), przeszkadzała wrazeniu jakie artysta wzbudziłby potrafił przez prawdziwe uczucie, jakim starał się ożywić tę trochę marzycielską i moralizatorską postać. Pan Tatarkiewicz miał kilka scen bardzo szczęśliwych, grze jego jednak brakło trochę tej równości i harmonii która jest jakby ostatecznym pokostem, jaki artysta nadaje stworzonemu przez siebie obrazowi. Ale pan Tatarkiewicz ma piękną przyszłość przed sobą, zdolności mu nie brak a praca widocznie i pracuje na dobrą drogę.

Pan Grzywiński niewdzięczną rolę uwodziciela Janiny odegrał z przywoitą miarą, która mu pozwalała wyjść nawet szczęśliwie z dość szorstkiej sceny porwania i odrzucenia dziecka.

W sprawozdaniu o sztuce zapomnieliśmy wspomnieć o córce Barantina którą odegrała panna Teofila Kwiatkowska, starając się prostotą naiwną zadosty czynić zamiarom autora w naszkicowaniu tej mało znaczącej zresztą roli.

Siostra jój, młodzianka Julia Kwiatkowska, w roli małego Gastona syna Janiny, uzyskała nie małe powodzenie i rzeczywiście widać z zachowania się jój i tonu mowy, że to dziecko zdaje sobie już poniekąd sprawę z tego co mówi.

Wacław Szymanowski.

Uroczystość winobranców

w Vevey.

(Dokończenie.)

Zanim przystąpimy do opisu ostatniej części uroczystości, mającej przedstawiać zimę, powiemy słów kilka o charakterze tańców. Uderzającym jest w nich,

że nie w sobie sztucznego, nie teatralnego nie mają. Tak dziewczątka sześć i ośmioletnie, jak panienki szesnasto i osiemnastoletnie, wykonywają tańce, skoki i gesta z nadwyzajną prostotą i naturalnością, a przytém z artystycznym prawdziwie wdziękiem. Widocznem jest że nie dla popisu i oklasków to robią, ale dla własnej przyjemności i zabawy. W ogóle cała uroczystość nosi na sobie cechę zabawy w najprzyzwoitszym salonie. Jestto tém dziwniejsze, że biorący udział w tej uroczystości, od bogini do najmniejszego dziewczątka lub chłopczyka, nie należą wcale do tak nazwanego wyższego tonu, nie odebrali wychowania salonowego, nigdy nawet salonów nie widzieli i wyobrażenia o nich nie mają. Są to dzieci włościan żyjących z pracy rąk własnych i przeznaczone także własnymi rękoma na życie zarabiać.

Hołd oddać trzeba ich wrodzonemu poczuciu piękna i artyzmu, a przytém pracy lożonej w celu żeby się tego wszystkiego wyuczyć. Bo rzeczywiście, wyuczenie się śpiewów i tańców wymaga kilkumiesięcznej usilnej pracy i ogromnej straty czasu. Nieraz pół mili, a nawet milę trzeba było chodzić z domu na miejsce zebrań i tyleż z powrotem, najczęściej w późnej nocy, nie licząc nakładów na stroje potrzebne do uroczystości.

Hołd także się należy tym ludziom, co nie żałowali ni czasu ni pracy na ułożenie muzyki i tańców do tej uroczystości i wyuczenie jój tysiąca pięciuset uczestników. Praca rzeczywiście olbrzymia, a zasługa tém większa, że żadnego za to nie otrzymali wynagrodzenia.

Ostatnia część uroczystości zajęta była weselem włościańskim. Przedstawiono wszystkie ceremonie, od oświadczeń i zaręczyń, aż do oczepin; ale najbardziej zajmującym było wystąpienie dwudziestu dwóch par, w ubiorach właściwych dwudziestu dwóch kantonów Szwajcaryi. Widok tych strojów różnego kroju i różnej barwy, wielkie na widzach zrobił wrażenie.

Za orszakiem godowym wystąpili strzelcy w zielonych kurtkach, długich butach i wysokich kapeluszach, ozdobionych różowymi kwiatami alpejskiego rododendronu, którzy wraz z innymi uczestnikami uroczystości, zaśpiewali *hymn Szwajcaryi*. Tysiąc pięćset osób wzięło udział w chórze, poczem muzyka zagrała ulubionego w całej Szwajcaryi walca Lauterbacha i orszak weselny obszedł marszem tryumfalnym plac cały.

O godzinie jedenastej, po skończeniu tańców, śpiewów i zabaw, wszystkie orszaki w następującym porządku wyruszyły marszem tryumfalnym na obejście ulic miasta, których domy przybrane były w girlandy i chorągwie. Najprzód wszystkie orkiestry zebrały się w półkole na środku placu, a za każdą uszykował się właściwy jój orszak. Na dany znak naczelnego kapelmistrza, zagrzmiął hymn do Szwajcaryi, przez sześć orkiestr wykonany. Po przegraniu pierwszej strofy, wszyscy do tańców, igrzysk i zabaw należący, to jest tysiąc pięćset osób, ten hymn zaśpiewało. Poczem opat z pastorałem, radcy komitetu, zaproszeni goście i dwaj winobrancy obdarzeni złotymi medalami, z wieńcami na głowie, stanęli pomiędzy dwoma oddziałami halabardników, i tak wrócili do miasta, a za nimi wszystkie orszaki, w porządku w jakim wystąpienia ich na placu zabawy po sobie następowały.

Po pochodzie tym rozeszli się wszyscy do domów na odpoczynek. Wieczorem zebrał się na ucztę, po której nastąpiła przejażdżka na jeziorze. Miasto całe zajaśniało iluminacyą; tarasy mianowicie i bulwary nad jeziorem odbijały liczne światła w przejrzystej wodzie. Pięć dużych łodzi, oświetlonych trzema rzędami różnobarwnych weneckich latarni, pozawieszanych w festony i girlandy, przewoziło po jeziorze komitet bractwa, gości zaproszonych, winobranców obdarzonych medalami i o ile się zmieściło, tych co brali udział w rannych igrzyskach. Wszyscy ubrani byli we właściwe stroje. Oprócz tego mnóstwo łódek mniejszych, prywatnych, kręciło się po jeziorze, a każda przynajmniej jedną latarnią była oświetlona.

Na drugi dzień od samego rana powtórzoną została uroczystość w tym samym porządku co dnia

pierwszego; te same wjazdy uroczyste, tańce, śpiewy i igrzyska, z wyjątkiem jedynie rozdania nagród.

O godzinie czwartej po południu wszyscy, we właściwych także strojach, zebrał się na bankiet, który trwał do godziny dziesiątej. Stoły były rozstawione pod gołym niebem, na placu przyległym jezioru, dającym otwarty widok na góry wyniosłe z drugiej strony wody. To też tysiące ludzi przypatrywało się uroczemu widokowi tysiąca pięciuset biesiadników, w pięknych, różnobarwnych strojach, siedzących razem i weselących się po bratersku, bez żadnego względu na wiek lub różnicę stanu. Prezes bowiem rady stanu kantonu lozańkiego, najwyższy dostojnik, miał po jednej ręce Palladę, córkę prostego mieszczanina z Vevey, a po drugiej młodą pastereczkę, córkę włościanina z przyległej gminy. Przy innym stole radca związkowy siedział między ogrodniczką a żniwiarką.

Trzeciego dnia, to jest 28 lipca, te same igrzyska, tańce i śpiewy raz jeszcze były powtórzone, z tą tylko różnicą, że miejsca w estradach nie kosztowały. Trzeba bowiem wiedzieć, że poprzednich dwóch dni ceny miejsc były bardzo wysokie. Pierwszego dnia miejsce w głównej estradzie kosztowało dwadzieścia franków, w bocznych zaś za pierwsze miejsca płaciło się dziesięć franków, a za następne po pięć franków. Na drugi dzień cena została o połowę zniżoną. Ceny te jednak nie wstrzymały widzów, a było ich dziesięć tysięcy, ze wszystkich stron świata przybyłych, nie żałujących wydatku bardzo znacznego, dla zobaczenia uroczystości, jakiej w żadnym innym kraju nigdy widzieć nie można; a i w Szwajcaryi, jakeśmy to wyżej powiedzieli, tylko co kilkanaście lat bywa wyprawiana.

Trzeciego dnia zadziwiającem było to zwłaszcza, że stroje po dwóch dniach widowiska i uczt wieczornych były świeże, jakby prosto z igły. Kilkaset dziewcząt, mimo całodziennego zajęcia zabawą, mimo znużenia, nie pożałowało nocnej pracy, żeby stroje do pierwotnego stanu świeżości doprowadzić.

Bal dany wieczorem trzeciego dnia na placu zabawy, zakończył uroczystość. Tysiąc dwieście tancererek i tancerzy wzięło w nim udział. Bawiono się wesoło przez noc całą.

W końcu jeszcze słów kilka o kwestyi finansowej. Mimo wysokiej ceny miejsc, wydatki przeniosły o sześć tysięcy franków dochody; przewyżkę tę poniosło bractwo z własnych funduszków, ze względu na cel szlachetny.

Nie można także przemilczeć gościnności Veveńczyków. Miasto ich liczy sześć tysięcy ludności. Na uroczystość winobranców zjechało się przynajmniej dwadzieścia tysięcy osób, a mimo to dla wszystkich znalazły się mieszkania, dosyć nawet, jak na taki zjazd, wygodne i ceny ich nie były także bardzo przesadzone.

Trzeba też przyznać, że gościnność mieszkańców miasta Vevey, równie jak całego kantonu wodejskiego, jest bezprzykładną. Gospodarz po obiedzie zaprasza do piwnicy; jeżeliby się kto opierał, to go tak usilnie i póty błaga, póki go nie przemoże, żeby od towarzystwa nie odstawał. Piwnice ich są obszerne, suche i widne. Gospodarz jedną tylko szklankę z sobą przynosi, utacza w nią trochę wina z jednej z ogromnych beczek trzema rzędami na półkach ułożonych i próbuje. Jeżeli mu do smaku, dotacza ją do pełna i sam popiwszy, sąsiadowi podaje, ten następnemu, a gdy się szklanka wypróżni, nanow ją napełnia. Zwyczaj jest bowiem w piwnicy pić jedną szklanką. Od kolejki nikomu się uchylić niewolno, pod karą kłatwy i nie przypuszczenia już nigdy do towarzystwa pijących. Niejeden zapewne z przybyłych na uroczystość winobranców, dwa lub więcej dni jeszcze po jój zakończeniu pozostał w Vevey, popijając tak u przyjaciół i znajomych; a chociaż wszyscy potępiają zbyteczne używanie wina, każdy się tém tłumaczy, że uroczystość winobranców zaledwie co kilkanaście lat przecie się odbywa.

KONIEC.

Wycieczka na Łomnicę tatrzańską

26 lipca 1865 r.

(Dalszy ciąg).

Przebyliśmy wreszcie ostatni piorg: jużeśmy na Łomnickiej przełęczy. Co za cudny widok! Pod nami kotlina niby otchłań się rozwarła, a w niej stawek modry, w ponurym otoczeniu granitów; na prawo ciągną się bez końca żółtawo-szare piorgi Łomnickiego grzebienia, a dalej ku południowi i zachodowi uderzają miłą zielenią z głębi olbrzymiego obrazu równiny urodzajnego Spiżu, lub czernieją na zielonym tle porozrywane płyty wielkich borów spiskiiego Podhala. Tu i owdzie widać znowu biejące osady, co ciekawie ku nam wyziwiają, jakby spytać chciały: A gdzieście wy? Ponad nami zaś groźnie sterczą turnie rozorane oblicza Łomnicy; wszędzie strome, dokoła nieprzejrzone prawie przepaście, a do tego wszędzie tak niemo i tajemniczo! Tu chmur kraina, kraina gromów. Niżej nas chmury, jak straszdyła powietrzne z rozdziawionymi gardzielami, pędzą na rącznych skrzydłach wiatru. Zbliżają się ku nam. Wyjdźmy copędzj na szczyt, by nam mgły nie zaparły drogi i pożądanego widoku. „Sto jeszcze razy zajdą mgły i sto razy się rozejdą, nim będziem na szczycie,“ ozwał się przewodnik. Skroń Łomnicy okala teraz lekki wieniec chmur; teraz znowu się odsłania, a szczyt jej wierchu wyrzyszcie rysują się na ciemnym błękitcie, który krawędzią zdaje się na niej opierać, i znowu rozwiewne chmury kwefią oblicze królowej gór słowiańskich.

Wreszcie znikły nam ostatnie ślady ścieżki; przed nami ściana żlebu coraz spadzistsza, żlebu, co wrzynając się w piersi Łomnicy, dozwala odważnym wspinać się do coraz zawrotniejszej wysokości. Spojrzeliśmy w górę: wszędzie granity zdają się zapiierać nam wyjście; rzuciliśmy wzrokiem w tył poza siebie, a lekki dreszcz nas przeszedł, bo pod nami przepaść w której głos zaumięra, a oko się gubi, błędząc w czarnych szczybach. Z rozkazującą miną przystępuje do nas Janusz i gwałtem prawie poczyna nas rozbrajać. Na jedno: „Tak trzeba!“ rzucają wszyscy laski i inne niepotrzebne rzeczy pod pobliską skałę. Mnie niekoniecznie się chciało do powszechnego rozkazu zastosować; ale trudno było stanowić wyjątek; musiałem uleść przedstawieniom Janusza i nawet nieodstępną siatkę w świeżo założonym magazynie zostawić. Teraz dopiero poczyna się najniebezpieczniejsza przeprawa.

Wielu (1) już zwiędzało Łomnicę; Janusz 112 raz przewodniczył w wycieczce na tę górę. Niejedni zwiędzaczowie opisywali tę wycieczkę, która istotnie do najpiękniejszych w Tatrach należy, sądy ich jednak dotyczące owych miejsc niebezpiecznych mniej lub więcej oddalają się od rzeczywistości. Przedstawiają oni bowiem, jak się słusznie F. W. Hildebrandt (2) wyraża, onę przeprawę jako nader łatwą (3), lub też jako nadzwyczaj niebezpieczną. Trzeźwy sąd namienionego zwiędzacza przedstawia nam rzecz tę w jaknajprawdziwszym świetle. Oto jego słowa:

„Wnijscie na Łomnicę wymagania niezawodnie, krom dość znacznego wysilenia, także wytrwałości na niektórych miejscach, a osobliwie na ostatnim ustępie, gdzie wielkiej trzeba przezorności. Przy niesprzyjającej pogodzie, podczas mgieł lub burzy, albo gdy wazkie progi złane są deszczem, a do tego mróz się przyłączy, byłoby wnijscie nawet wręcz niemożliwem. Kto zaś bezwzględnie nazywa tę wycieczkę groźną złamaniem karku, ten albo zawiele dodaje, albo też po prawdzie nie poznał niebezpieczniejszych jeszcze ścieżek górskich. Bardzo trudno da się wycieczka na Łomnicę porównać z wnijsciem na lodowce lub nawet na Alpy, których szczyty wiecznym pokryte są śniegiem. Tutaj najczęściej potrzeba tylko na jednosążniowe wdrapywać się ściany, na których i w tym razie znajdują się do oparcia pewne, choćby

i nader wazkie zaczepy. Przepaść, wzrastająca wprawdzie u dołu z każdym krokiem, nie zdoła tak łatwo sprawić zawrotu głowy, bo doskonale widać progi kędy się przechodziło, wyjąwszy wrodzone usposobienie do takiego zawrotu, co już samo przez się nie dozwala na znaczniejsze wspinać się wierchy. Nadzwyczajna twardość i wytrzymałość perlowo-szarego granitu, składającego tę olbrzymią wieżę, należy równie do najbardziej sprzyjających okoliczności. Każdy bowiem, chociażby i najcieńszy wystający kawałek skały, którego ręką się ima, na którym nogą się oprzeć można, staje się niezawodną i pewną przystanią.“ A dalej: „Słowem każdy, jeśli tylko jest zdrow i krzepki, może się bez wahania odważyć na tę wycieczkę. Kto zatem jako tako włada swemi członkami i mięśniami i widocznymi nie ustraszają się niebezpieczeństw, bo tylko takie się tu znajdują, ani też szalonej daje się porywać odwadze lub obawie, co fizycznie ubezwładnia, taki śmiało może się wspinać na Łomnicę.“

Za zręcznym przewodnikiem pnę się na czworaku; silnie obiema rękami chwytam się wystających skałek granitu i całego siebie im powierzam, ufny w ich wytrzymałość. Lecz biada, gdyby się zdradnie oderwały, wtedybym runął w otchłań co śmiercią podobną zieje. Wszakże ta myśl trwożna szybko przemknęła, skorom się po kilku krokach uczył bezpieczniejszym. Dziwne uczucie wesołości, z małą domieszką lekkiej trwogi, zagrało w mych piersiach i przysparzało mi coraz więcej zimnej odwagi. Zresztą trudno tu było rozważać istotność lub nieistotność zagrażającego niebezpieczeństwa; dość na tém, że czas naglił, a cała czynność duszy bezpośrednio w dwóch tylko kojarzyła się zmysłach, we wzroku i czuciu. Przewodnik podnosi nogę, doświadczając mocy drugiego zaczepu, a ja, oparłszy się piersiami o szorstki granit, trzymam się jedną ręką najpewniejszego miejsca, a drugą jużem gotów jąć się następnej skałki. Idący pod nami w tenże sam sposób chwytają się od poprzednika opuszczonych wysterek twardego granitu; nogi jednego zwisają chwilę nad głową drugiego, i znowu, mimowoli drgając, w upatrzone pewne wstępują miejsca. Tak pieliśmy się wyżej i wyżej, niby po granitowej drabinie. Na wolniejszych ustępach odpoczywaliśmy potrosze, wtedy rzucałem okiem koło siebie na groźne głązy, co nad przepaścistym żlebem uwisły, jakoby w tej chwili runąć miały; szare, potargane ich łby dziwacznie i dziko wyglądały, a skrzywione, ponure ich twarze zdawały się nam uragać. Dalej siwe mgły zasłaniały nam pożądaną widok; zwróciłem więc oczy na głaz na którym odpoczywałem i tutaj na żwirze granitowym pod kamieniami spotykałem nie tak już żywych jak w halach szycoszów (*Pterostichus maurus* i *blandulus*) i zielonawo-czarną, brązowego połysku stonkę (*Chrysomela islandica*). Tu też pod samym szczytem złapałem pierwszy raz górką biedronkę, całkiem czarną, o czterech czerwonych plamach na pokrywach (*Coccinella alpina*).

Po kilkominutowym swobodniejszym odetchnięciu, zaledwieśmy kilka kroków uszli bez obawy, bo znowu wznosi się przed nami spadzista ściana i znowu ten sam trud co przedtém. Niedługo to jednak trwało; oswojeni już na poprzedniej przeprawie, łatwo wydostaliśmy się pod sam wiech Łomnicy. Kilka jeszcze kroków, kilka chwil cierpliwości, a już będziemy na samym szczycie. Ot widać już drąg tam zatkany. Wtém nadeszła chmura i zasłoniła nam cały świat dokoła; pod nami, nad nami i wokoło nas mgły uporczywe, że nie widać nawet słońca, nie widać i dna przepaści z której się wydobywamy.

„Jużeśmy na szczycie!“ zawołał przewodnik, zdjął uroczyscie kapelus, a wiatr rozwiewał długie jego włosy. „Jużeśmy na szczycie!“ powtórzyliśmy wszyscy uradowani.

Witaj z morza granitów wybiegła Łomnico,
Niepożyta wiekami królowo-dziewico!

Od jak dawna pragnąłem doczekać się tego dnia, tej szczęśliwej godziny! Ziściły się moje marzenia, moje życzenia chłopięce. Wokoło ciebie, Tatr królowa, tajemnicza cisza, tak uroczysta jak w stariej świątyni.

Ciszę tę przerywa czasem tylko głuchy szum wiatru, co nieme, blade mgły jak senne widziadła rozrąca.

W tej chwili daleko, głęboko pod nami zazieleniał świat ludzi. Tam wesoło, tam słońce złoci rozłożyte niwy; ale tu, tu wskrós szaro i ponuro. Wreszcie rozstały się mgły i od północy, a z pod czarnego chmur wału wygląda z drugiej strony nasze Podhale nowotargskie; ot i Zakopańską widać dolinę! Tu i owdzie odstaniają się pojedyncze szczyty, ale nie nadługo. Dalej i dalej chmury gęste bez końca w powietrznym pływ oceanie i zamykają nam krańce widokregu. Wpatrującemu się ciekawie w to czarodziejskie, chwilami częściowo odsłaniające się panorama, przysły mi na pamięć słowa dawniejszego zwiędzacza gór naszych:

Tutaj rozkosz w koło błyska,
Oko w miły wabiąc tan,
Czy na dzikie skał urwiska
Czy w zielony spojrzysz łan.
Tu swobodnie myśl się wznosi,
Jak sokoła hyży lot,
I do niebios wzłata osi,
I z chmurami idzie w splot.

Mgły się zbijają raz w niesforne kupy, to znowu siłą wiatru rozerwane, śpiesznie przeleczkami mkną pomiędzy szczyty, a jasne tło niebios chwilowo prześwytają, wraz z zamgloną tarczą bladego słońca.

Wala wzrok orli utkwiał w jedną stronę, długo patrząc na oddalony w głębi upłaz; wtém rozradowany przystępuje do nas: „Widzicie tam, hań na tym upłazku kozickę? O, teraz idzie krajem tego piorgu! O teraz, teraz gdzie w to miejsce słońko świecił!“ Jakże miłem zjawiskiem jest w tych dzikich, ponurych ustroniach jakiegokolwiek żyjątko, choćby i najmniejsze, a cóż dopiero koza dzika, najpiękniejsza Tatr ozdoba! Przypatrującemu się jej postaci szlachetnej, jej śmiałym a pewnym i zgrabnym ruchom, trudno zaiste oderwać oczy. Kozica jest najukochańszą gór córą. Dawniej bywało tych pięknych zwierząt bardzo wiele w Tatrach; teraz niszcząca ręka człowieka i w najniebezpieczniejszych turniach nie daje im spokoju, zarówno jak świstakom.

Znowu się mgły ku nam nasunęły i znowu ciemno jak pierwej; jesteśmy pośród morza chmur szarych, pozbawieni spodziwanego widoku. Otoczeni grubą mgłą wokoło, w której zaledwie na kilka sążni było można rozpoznać dziko poszarpane skały szczytu łomnickiego, musieliśmy się rzec cudownego krajobrazu, jakoby się na tej wysokości był oczom naszym roztworzył. Pia desideria! Trzeba było poprzestać na widoku potrzaskanych, tuż pod nami leżących głązów, które nie mogły w nas wzbudzić żadnego zajęcia. Kto więc dla samego tylko widoku w wyteżeniu sił całych piął się na Łomnicę, ten mało dzisiaj zyskał, chyba to, że może powiedzieć: Byłem na samym szczycie! To też nie dziwiliśmy się naszym towarzyszom, Węgrom, którzy po zaspokojeniu niecierpliwego żołądka, po kilku łykach wina i niebardzo głośnych: „Eljen Łomnica!“ najobjętniej poukładali się do snu. Niezadowolenie jednak odbijające się jeszcze we śnie na śniadych ich twarzach powoli ustępowało złudnym może marzeniom, co przenosiły ich nad uroczę brzegi szerokiego Dunaju, lub w sławne winnice Tokaju; usmiech lekki przelatujący po ich licach łatwo kazał się domyślać podobnego nastroju duszy. I Janusz najspokojniej sobie usnął po odbytych trudach, a potężne chrapanie jego przymieszowało się dziwnie do stłumionego szumu wiatru pędzącego mgły. My tymczasem opatrywaliśmy dostępne miejsca wierchu.

Szczyt Łomnicy, wyniosły 8328' n. p. m. (według pomiarów trygonom., 8342' według Fuchsa) jest dość przestronny; potargane głązy twardego granitu, szalenie wielorakim okryte porostem, zalegają jak u dołu tak i tutaj cały wiech góry. Wprawdzie wybiega ta góra, jak wiele innych szczytów, daleko po za linią wiecznych śniegów, które jednak dla niekorzystnych stosunków miejscowych nie mogły się nigdzie tutaj ułożyć i utworzyć lodowce. Nie jest to jednak kraina martwych głązów, gdzie życie organiczne już zupełnie wygasa. Bynajmniej, jest tu jeszcze trochę tworów ze świata roślinnego a nawet i zwierzęcego.

(Dalszy ciąg nastąpi).

(1) O ile wiadomo, pierwszy co wyszedł na Łomnicę, był Jan Fröhlich, Spiżak. Stało się to w czerwcu 1613 r. Staszic nowocwał na jej szczycie 22 sierpnia 1805 r.

(2) Karpathenbilder. Glogau, 1863.

(3) Karl A. Sonklar Edler v. Innstädten, Reiseskizzen aus den Alpen und Karpathen. Wien, 1857.